BIBLIOTEKA INSTYTUTU GDAŃSKIEGO W GDAŃSKU
Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
CIV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 13 listopad 1949 r. | Nr 45 (207)

Andrzej Micewski

KLIMAT EPOKI

Poziom kultury życia publicznego, a politycznego w szczególności, w Polsce był i jest jeszcze niski. Cała zresztą zachodnia cywilizacja epoki mieszczańskiej nie była nam pod tym względem szczególnym przykładem. Wprawdzie specyficzny charakter tradycyjnej, dwu partyjnej struktury politycznej w krajach anglosaskich wytworzył tam lepsze warunki kształtowania się kultury politycznej społeczeństw. Grał tu oczywiście jeszcze cały zespół innych czynników, dla każdego kraju indywidualnych.

W płaszczyźnie problematyki polskiej omawiane zagadnienie jest i dziś szczególnie ważne nie tylko dlatego, że świadczyć może o mniej lub więcej troski nasuwającym stanie naszej narodowej kultury w ogóle, ale i z uwagi na fakt, że ma ono wpływ na formowanie się aktualnych poglądów i ustosunkowań ideowych konserwatywnej części naszego społeczeństwa.

W Polsce dwudziestolecia rządzenie, mafijnego reżimu sanacyjnego tworzyło niezdrową atmosferę życia politycznego. Atmosfera ta ze zrozumiałymi odchyleniami, in plus lub in minus, była właściwa dla większości krajów demoliberalnych. Istniejąca w nich demokracja formalna nie miała nic wspólnego z demokracją prawdziwą, materialną, wyrażającą się nie jedynie w zasadzie formalnej równości wobec prawa, ale w faktycznej równości, wynikającej z usuwania różnic ekonomicznych, z tworzenia ustroju, wyłączającego własność indywidualną na środkach produkcji, to znaczy ustroju socjalistycznego. Takiej demokracji dziś chcemy, taka jest dla nas zadaniem, ideą przyszłości. Istnienie demokracji jedynie formalnej stworzyło w życiu publicznym pozory, że rządy klas, czy warstw uprzywilejowanych i wyzyskujących są rządami całego ludu lub społeczeństwa. Stąd wywodził się kameralny charakter zjawisk życia publicznego całej epoki mieszczańskiej, stąd dysponująca w gruncei rzeczy pełną swobodą, niezależnością i stałością, a więc mało elastyczna i nie zmieniająca się grupa władcza była podatna dla oddziaływania procesu degeneracji i rozkładu.

Wokół spraw życia politycznego utworzyła się w tej epoce swoista atmosfera tajemniczości, intryg i insynuacji, a nierzadko skandalu. Zachłystywanie się przez pewne środowiska przedwojenne problemem masonerii było po części wynikiem takiej struktury życia publicznego epoki mieszczańskiej. Jak głęboko utkwiła ta atmosfera w świadomości społeczeństwa do wodził fakt, że dziś jeszcze plotka i insynuacja ma w sądach politycznych określonych kół przemożne znaczenie. W ustroju socjalistycznym dokona się proces skierowywania ocen z podstawy uprzedzeń, kompleksów i podejrzliwości na płaszczyznę treści ideowych. Dlatego w naszym rozumieniu, właśnie ze stanowiska katolickiego, najważniejszym bodaj odcinkiem życia publicznego jest uwolnienie go z wszelkiego zakłamania. To naszym zdaniem jest jeden z podstawowych kanonów katolików w dziedzinie moralności publicznej w ustroju socjalistycznym.

Tymczasem w ustroju kapitalistycznym, w epoce mieszczańskiej, ta niezdrowa atmosfera była właściwie fundamentem całego porządku społecznego. Dlatego też pisałem już kiedyś, że „kiedykolwiek mówilibyśmy krytycznie o formach ustroju socjalistycznego, (a idealnych form zapewne żaden ustrój w swojej epoce nie ma) powinniśmy pamiętać o niezatracaniu proporcji w krytyce.

Atmosfera podejrzliwości i insynuacji miała w tamtych czasach znaczenie dominujące. Przyzwyczajono się wszystkie zjawiska traktować jako wynik gry interesów grupowych, przetargów i w ogóle gałgaństw. Momenty ideologiczne, jako motywy działalności, były niedoceniane, bądź wręcz zapoznawane. Ta atmosfera trwa w dużej mierze jeszcze do dzisiaj. Stąd staje się zrozumiały brak u dużej części społeczeństwa jakiejkolwiek myśli politycznej i płytki stosunek do spraw życia publicznego.

U jednych zrodził się złudny ideał apolityczności, który miał im umożliwić zachowanie **„czystych rąk“**. Ideał złudy, bo po pierwsze zupełna apolityczność na współczesnym szczeblu rozwoju życia społecznego jest fikcją, gdyż postawa bierna, ogłoszenie desinteressement — jest także stanowiskiem politycznym, po drugie zaś apolityczność, zupełna bierność jest stanowiskiem nie obywatelskim, oportunistycznym, wygodnickim.

Inni, politycznie czynni, wytwarzali atmosferę nieznośną. Wspomniane już kompleksy, uprzedzenia, „widzi mi się“ stały się postawami ideowymi. Stąd dziś jeszcze w środowiskach zachowawczych żadne prawie publiczne oświadczenie nie jest przyjmowane i analizowane wprost, wszędzie wietrzy się skandal, agenturę i cynizm.

W osiągnięciach odbudowy szuka się często nie polskich, ale jakichś tajemniczych politycznych celów, a te polskie, jeśli są, to cóż one znaczą wobec innych, politycznych. Stąd odrzuca się całe koncepcje ideowe, propozycje społeczne, potępia akcję i środowiska, w ogóle ich nie znając, nie robiąc wysiłku, by je poznać. Stąd tumani się bezmyślnie siebie i innych z wielką, niewybaczalną szkodą dla narodu, prawdy i wszystkiego, co istotne, głębokie i wartościowe.

Obraz tu przedstawiony może wydawać się przesadzony i jednostronny i na pewno w jakiejś mierze takim jest. W tych bowiem publicystycznych rozważaniach nie chodzi o jakąś absolutnie doskonałą socjologicznie uściśloną precyzję, ale o odtworzenie ram zasadniczych i pewne wyjaskrawienie tego klimatu politycznego, jaki odziedziczyliśmy po zamierającym wszystko stare i zdegenerowane, epoce mieszczańskiej i który musimy przezwyciężyć.

JEDNOŚĆ

Dwie są najcharakterystyczniejsze cechy tego klimatu:

1) zapoznawanie wszelkich treści merytorycznych w życiu ideowo-politycznym i podchodzenie do zjawisk od strony formalnej i zewnętrznej.

2) Niezdrowa, przesadna podejrzliwość i czyhanie na skandal.

W oparciu o te cechy wypaczono w epoce demoliberalnej jedno z najistotniejszych pojęć w życiu ideowo-politycznym, jakim jest **j e d n o ś ć.** W Polsce ten problem można obserwować szczególnie precyzyjnie.

PRZED WOJNĄ

Najpierw przed wojną. Hasłem jedności szermowała bezideowa sanacja. Jedność i w imię bardzo ogólnikowo i nawet, jak na tamte czasy, mętnie formułowanych celów dobra państwa i kraju, które było przecież przez sanację pojmowane, jako dobro i utrzymanie się przy władzy własnej grupy, które nie miało w ogóle nic wspólnego z najskromniej, najprymitywniej pojętą ideą społecznej sprawiedliwości.

Jedność była również wtedy lansowana w kołach polskiej endecji, gdzie znów ją pojmowano jako jedność w nieróbstwie, w ostrożnych i na pewno niezdrożnych ale mało społeczeństwu przydatnych marzeniach o władzy, o urządzaniu życia narodowego, ale bez dynamizmu twórczego intelektualnie i organizacyjnie, by coś z tych marzeń realnego wyjść mogło. A nade wszystko i tu, **co miała znaczyć jedność przy zapoznaniu problematyki postępu społecznego?**

OKUPACJA

W okresie okupacji. Duża część społeczeństwa była zjednoczona, ale niestety wokół naiwnych nadziei związanych z rolą polityczną rządu londyńskiego Nie deprecjonuje to bynajmniej wspaniałego moralnego znaczenia bohaterstwa i ofiarności naszego narodu, które będzie zawsze czynnikiem wychowawczym dla następnych pokoleń. Nam chodzi jedynie o ocenę polityczną. Komunistów w znacznej części kół politycznych uważano po prostu za rozbijaczy narodu. Ich ideologii społecznej nie znano i nie doceniano. Nie mówiąc już o szerszym pojmowaniu problemu rewolucji, którą dziś przyszło nam przeżywać na całym świecie. Inaczej zachowywali się Niemcy. Kiedy w roku 1943 siedziałem w więzieniu na Pawiaku, po przesłuchaniu otrzymałem do podpisania wypełniony formularz. Od razu uderzył mnie tekst nazwy jednej z pierwszych rubryk tego formularza: „Gehörst du zu PPR oder einer anderen geheimen Organisation?“, co znaczy: „Czy należysz do PPR lub innej tajnej organizacji?“ To pytanie pozornie normalne dało mi dużo materiału do myślenia, na resztę czasu spędzonego w więzieniu i na potem.

Niemcy rozumieli międzynarodowy układ sił politycznych i doceniali wagę problematyki społecznej i ruchów lewicowych w Polsce. Wcześniej jeszcze, jesienią 1942 r. zdarzyło mi się wpaść w Krakowie w ręce Niemców, mając przy sobie większą ilość prasy podziemnej. Wówczas to, już przy pierwszym przesłuchaniu, przed przekazaniem sprawy „Gestapo“, stary major niemieckiej policji kryminalnej pytał mnie: „Czy to jest prasa polskiej socjaldemokracji? Tymczasem dla wielu z nas sprawa ruchów lewicowych była tylko rozbijaniem jedności narodu i basta. Nic też dziwnego, że tak ubożuchna była ta nasza ówczesna jedność narodowa.

DZISIAJ

Dzisiaj nikt już nie mówi, ani nawet nie szepcze o komunistach jako rozbijaczach. Nawet ich najzagorzalsi, najbardziej niezłomni przeciwnicy, politycznie bardzo wysoko i poważnie traktują obóz marksistowski. Widzą także jego zalety, czują problematykę społeczną. Ale na to trzeba było, by w Polsce marksiści objęli władzę, by dokonała się rewolucja socjalistyczna, pokojowa, ale jednak rewolucja.

To, że Polska nie jest jakimś wyjątkiem, ale że omawiane zjawiska są udziałem całego świata cywilizacji mieszczańskiej, dowodzi przykład choćby Francji, gdzie powstała grupka młodych katolików, tzw. „progresiści“, biorących sobie za główne i bodajże w tej chwili jedyne zadanie obiektywnego naświetlenia francuskiemu społeczeństwu problemu celowo zohydzanego komunizmu.

POZOSTAŁOŚCI STAREGO PORZĄDKU

Wracając do meritum, trzeba stwierdzić, że fałszywy stosunek do idei jedności możemy obserwować w Polsce nadal.

Mówi się o jedności obozu katolickiego. Jako katolików interesuje nas to przede wszystkim. Myślę tu oczywiście nie o jedności religijnej Kościoła, bo ta dla żadnego katolika z prawdziwego zdarzenia w ogóle nie podlega dyskusji. Istnieje tylko bardzo precyzyjna i bezwzględnie obowiązująca prawda: **jedność Świętego, Powszechnego, Apostolskiego, Rzymskiego Kościoła jest jego nie naruszalną istotą.**

Wysuwa się natomiast problem jedności społecznej i politycznej obozu katolickiego. I ta sprawa nie przedstawia się prosto. Gdyby katolicyzm społeczny nie posiadał wieloletnich zaniedbań, gdyby cała opinia obozu katolickiego potrafiła spontanicznie wczuć się w tętno współczesności, gdyby potrafiła uchwycić rytm dziejących się rewolucyjnych przemian, gdyby wreszcie zrozumiała w pełni ustawienie spraw polskich w płaszczyźnie międzynarodowej i wynikające z niego wytyczne polityki zagranicznej naszego kraju, wówczas nie byłoby także w ogóle dyskusji o problemie jedności naszego obozu.

Dziś natomiast, w obecnym stanie rzeczy, poza częścią katolików, zdecydowanie wiążących się ze współczesnością, istnieje część o postawie zachowawczej, która stale jeszcze nie może wyjść z koncepcji katolicko-społecznych, formułowanych w rzeczywistości kapitalistycznej, dla tej rzeczywistości aktualnych, a nie dla naszej, socjalistycznej, otóż dziś w obliczu problemu wyboru, decyzji ideologicznej, postawienie zagadnienia jedności, jest bez równoczesnego postawienia sprawy prawdy społecznej niewłaściwe. Nie ma jedności dla jedności, jedności za wszelką cenę. Przyjęcie takiej koncepcji, wbrew doraźnym pozorom, byłoby w naszym rozumieniu sprzeczne z dalekosiężnym pojmowaniem najbardziej podstawowych i żywotnych interesów Kościoła i całego obozu katolickiego.

(dokończenie na str. 2-giej)

D 21/59/052

Przyjęcie jedności i solidarności jest możliwe i konieczne, ale dopiero w oparciu o uzgodnienie prawdy społecznej i wspólne rozumienie interesów narodu. **Jedność w błędzie jest niedopuszczalna.** Lepszy jest już nawet wewnętrzny, jawny konflikt, bo na pewno ścieranie się tendencji jest twórcze. Tylko przyjęcie tezy o konieczności postawy odpowiedzialności i aktywności może być fundamentem jedności. Bierność i oczekiwanie zawsze spotyka się z wyłamaniem zdrowej aktywności. Mało tego. Wydaje nam się, że przyjęcie postawy bierności dla zasady jedności, wbrew przekonaniu o konieczności działania w nowych warunkach, w nowej rzeczywistości, byłoby oportunizmem, byłoby stanowiskiem w założeniu niemoralnym.

Dlatego wydaje nam się, że w obozie katolickim musi być dziś duże zrozumienie, większe niż kiedykolwiek dla odrębności stanowisk. Wydaje nam się, że w naszym obozie musi zyskać powszechne, pełne, prawo obywatelstwa cytowane już przez nas kiedyś sformułowanie znanego socjologa katolickiego, ś. p. ks. prof. dr Antoniego Szymańskiego: **„Stąd pomiędzy politykami katolickimi może być więcej doraźnych rozbieżności politycznych, niż pomiędzy katolikami i niekatolikami"...** Idea zaś jedności winna nam przyświecać, ale w swym najgłębszym sformułowaniu, to znaczy jedności dla prawdy, a nie mimo niej. Inny stosunek wobec jedności będzie znaczyć, że zapoznajemy merytoryczne, ideowe momenty w życiu politycznym, a ograniczamy się do płytkiej, efektownej doraźnie domonstracyjnej taktyki jedności. Dlatego trzeba w obozie katolickim myśleć o ideologii, społecznej i politycznej, trzeba ją tworzyć, dyskutować, trzeba analizować treści myślowe w ocenianym stanowisku, a nie wzorem smutnej pamięci przedwojennych mieszczańskich tradycji, wietrzyć tylko rzekomy oportunizm, tajemne kulisy i wykpiwać się frazesem o jedności. Bo inaczej zajmuje się filisterską postawę gnuśności, lenistwa, nietwórczego oczekiwania. Zajmuje się postawę człowieka obrażonego na rzeczywistość za to, że istnieje, a więc postawę śmieszną. Jasne, że postawa ta musi doprowadzić jej wyznawców do wyobcowania ich poza ramy rzeczywistości. Bardzo to przykry proces, ale wydaje się naturalny. Naturalny, bo z kompleksem jedności w błędzie, jedności w obskurantyzmie i konserwatyzmie społecznym, w jedności w zamykaniu oczu na fakty jest najlepsza droga dobrowolnego, samodzielnego wychodzenia za margines, samolikwidacji.

Wierzymy, że nie część katolików, ale wszyscy tę postawę nie tylko odrzucą, ale wyraźnie, ostatecznie potępią. Wierzymy, że katolicy nauczą się pracować na małych odcinkach, dla drobnych poszczególnych celów. Wierzymy, że porzucą postawę pychy w uznaniu pracy tylko w najlepszych warunkach, tylko w idealnej abstrakcyjnej rzeczywistości. Wierzymy, że w oparciu o postawę pokory przyjmą poczucie czynnej odpowiedzialności za każdy najdrobniejszy odcinek w każdej rzeczywistości.

To powiąże ich z życiem, da zrozumienie, że prawda społeczna współczesności leży w socjalizmie i że ta prawda nie musi być sprzeczna z naszym spirytualistycznym poglądem na świat.

Andrzej Micewski

Ksawery Bogdański

W oczach mojego pokolenia

Pokolenie, generacja — nigdy nie pod kreśla się tych słów dość mocno. A przecież związani jesteśmy z naszą epoką, z ludźmi wśród których żyjemy — nasza psychika ukształtowana jest przez środowisko, w którym się obracamy. Nigdy nie zdołamy się wyrwać spod tego wpływu, jesteśmy złączeni nieustannym, a wspólnym nam wszystkim, przepływem czasu i zdarzeń. „Każdy pisarz jest tylko dzieckiem swojej epoki, choćby się matki wypierał, jak Norwid" — pisze Adam Ważyk w tomie „ W stronę humanizmu". Wielka to prawda i czas aby zdać sobie z niej sprawę, by wypisaną drukowanymi literami położyć na swym biurku. Ale Ważyk i teoretycy mu pokrewni — idą jeszcze dalej. Uważają oni, że formacja ekonomiczno - społeczna i miejsce jakie zajmuje jednostka w drabinie klasowej — narzucają jej pewne schematy myślowe właściwe otoczeniu, czyli po prostu determinują ją psychicznie. Wobec tego nie pozostaje człowiekowi nic innego, jak upaść na kolana przed epoką, w której tkwi i krzyknąć: Jestem niewolnikiem epoki. Na taką postawę i na takie sformułowania przystać nie możemy nie tylko ze względu na naszą niechęć ku nim, ale przede wszystkim ze względu na pewne fakty oczywiste przeczące jej założeniem.

Obiektywizm nie istnieje — mówią nam. Zgoda — odpowiadamy. Ale istnieje ideał obiektywności, podobnie jak ideał całkowitego i trwałego szczęścia, a obowiązkiem człowieka jest zbliżać się zarówno do jednego jak i do drugiego, chociażby nawet wiedział, że są one nieosiągalne. Karol Irzykowski w uwagach pisanych na marginesie artykułu A. Łaszowskiego („Prosto z mostu", 1937 r.) zdefiniował intelektualistę jako człowieka, dla którego „obecny moment historyczny jest żywym eksperymentem laboratoryjnym, seminaryjnym, choć bardzo wielkim". Czy oznacza to wycofanie się z życia epoki, tchórzliwą ucieczką? Nie. **Postawa taka polega po prostu na filozoficznym podejściu do wszystkich problemów.**

Człowiek jak pług — notowałem kiedyś — winien przeorać się nie przez glebę, ale przez kostkę bazaltowej jezdni; przegryść się przez środek i jądro zagadnień, zbadać wszystko od wewnątrz, nicować pustosłowne schematy. To nie jest błędem, że taki pług rychło pójdzie na szmelc. „Nie należy się oszczędzać — uczył Włodzimierz Pietrzak. — Lepiej by życie rozsadziło człowieka, niżby go miało oszczędzać... Nigdy nie należy być uległym, ani ostrożnym. Nie oglądać się, nie obliczać, nie mierzyć. Jeśli nawet zatrute są dary greckie, to trucizna działa dopiero później, po upływie tej chwili, która jest kulminacją, nagrodą, ukojeniem. Bo szczęście — to właściwie ukojenie, nasycenie. Pogoda serca".

Wchodzimy do literatury młodo, ale przeżycia nasze obfitowały w tragiczne i „graniczne" momenty. Krótkość nie zawsze równoznaczna jest z łatwizną. Mamy dużo do powiedzenia. Na naszych barkach spoczywa nadmiar przeżyć, chociaż jakże inne są nasze przeżycia od przeżyć przedwojennego pokolenia. Mamy za wiele wrażeń i doświadczeń, za mało intelektu — można by ująć lapidarnie. Jesteśmy zapóźnieni pod względem wiedzy książkowej. Dlatego też łatwość druku naszych prac— to chyba największe z grożących nam niebezpieczeństw. „Zauważyłem — pisze Puszkin w swych notatkach — że najgłupsze nawet przekleństwo lub bez podstawny osąd nabiera wagi dzięki czarodziejskiemu wpływowi drukarni. Ciągle jeszcze myślimy: jak to może być głupie bądź niesprawiedliwe? Przecież to wydrukowane!"

Pierwsze co można uczynić, to wrócić szacunek i wartość słowu drukowanemu. Pisarz powinien zawsze pisać jak gdyby z myślą o wydaniu zbiorowym swych dzieł, z tym jeszcze obostrzeniem, że do wydania tego wejdzie **wszystko** co kiedykolwiek i gdziekolwiek wydrukował. Czy oznacza to megalomanię, chęć zdobycia „sławy" w oczach potomnych? Nie! Oznacza to po prostu olbrzymią odpowiedzialność za każde napisane słowo przed oddaniem go do druku. Bowiem pisać można w pierwszym rzucie różne rzeczy — to jest sprawa prywatna, ale druk zamienia ją we własność zbiorową do której autor traci prawo. Dlatego wzorem pisarza pozostaje Flaubert, a z polskich ludzi pióra, Jan Parandowski.

Nasze doświadczenie musimy podeprzeć intelektem i dopiero wówczas staniemy się ludźmi pełnymi.

To jest, być może, nasza historyczna szansa. Wiedzę możemy zawsze skonfrontować z życiem, nie dając się odsunąć na boczny tor bezpłodnych rozważań. A dorobek przeszłości, ciągłość kultury jest drugim argumentem przeciwko zdeterminowaniu psychicznemu jednostki. Cechy psychiczne osobnika nie są bynajmniej wrodzone czy dziedziczne. Z chwilą przyjścia na świat człowiek jest psychicznie, czystą kartą papieru, którą dopiero zapisuje doświadczenie. Otoczenie narzuca jednostce pewne rysy, nadaje jej rozwojowi pewną linię. Ale dotyczy to tylko teraźniejszości. Teraźniejszość jest bowiem fakt tem, którego odrzucić nie podobna. Z przeszłości zaś, z dorobku umarłych pokoleń można wybrać to co się zechce. Tutaj wszystko zależy od wyboru, od naszych chęci. A poprzez ową wiedzę nawarstwioną przez minione pokolenia możemy krytycznie spojrzeć na teraźniejszość. Załóżmy: Z przeszłości obowiązuje całość jako dorobek historyczno - kulturalny i poprzednicy, którzy są dla nas drogowskazami w rozwoju. Samo zaś życie jest i tak pełniejsze i bogatsze od mądrości książkowej, szczególnie życie w przełomowej epoce.

A prawda jest zawsze wielością, nie jednością. Dlatego też umiejętność wyboru pozwala na pokonanie deterministów. Tylko, że to wymaga od człowieka aktywnej, twórczej postawy wobec życia. Życie nie może być tylko błyskiem narastającej świadomości, życie powinno być nieustanną walką z czasem — o poznanie siebie i świata. Tylko kto zwycięży w tym nierównym wyścigu: poznanie czy śmierć?

Cechą charakterystyczną młodego pokolenia jest pęd do powierzchownego naskórkowego traktowania życia. Pęd ten stanowi reakcję na nadmiar cierpień, jakie przypadły nam w udziale. Dewizą młodych staje się aforyzm Oscara Wilde'a z „Portretu Doriana Graya": „Stać się widzem własnego życia to wyzwolić się od cierpień życia". A słowa te są przecież całkowicie błędne. Nigdy nie urodzi się człowiek, który potrafiłby rzucić wszystko, odejść od wszystkiego i wszystkich, jak uczy Andre Gide w „Immoraliście". Jeżeli nawet odejdzie czeka go ból, kamień którego obecność można wyczuć na piersiach. Chociaż prawdą jest również, że czas jest silniejszy od miłości i przywiązania. Ale nie jest prawdą, że czas jest silniejszy od śmierci. Joseph Conrad z goryczą zanotował w powieści „W oczach Zachodu": „Śmierć jest bezlitosnym łupieżcą. Wszyscy znamy ból niepowrotnej straty. Nie ma tak samotnego życia, które byłoby zabezpieczeniem od tego doświadczenia".

Dlatego też w życiu wszystko trzeba traktować poważnie. Życie bowiem nie składa się z estetycznych „smaczków" ani z formalistycznych eksperymentów. Życie to ciężar odpowiedzialności. Wobec kogo? — pytacie. Wobec samego siebie. Jeżeli współczesne pokolenie zrozumie tę prawdę, nastąpi również nawrót do intelektu. Bowiem istotą myśli jest nieugaszenie, wieczne nienasycenie... Przesyt daje tylko fizjologia.

(Ewie na zakończenie jednej rozmowy)

Nie wierzę w Boga — mówisz — ponieważ współczesna wiedza nie zostawia miejsca na religię. Złudzenie! „Kto powierzchownie tylko kosztuje nauki, ten może się skłaniać do ateizmu — powiada Bacon[1]) — głębsza atoli wiedza prowadzi do religii". Znam ludzi których postępowanie Wł. Pietrzak zamykał w lapidarnym określeniu: „fizjologiczna koncepcja życia" — i czasem, chociaż rzadko, mówią oni do mnie: „No dobrze, życie jest piękne. Ale pomyśl, kiedyś przyjdzie śmierć. Wszystko się skończy." Widzę jak bezmyślna twarz mówiącego wyłamuje się w tragiczny wyraz.

Heroizm — mówisz — polega na konsekwentnie ateistycznym stanowisku, na spojrzeniu prawdzie życia prosto w oczy, na odrzuceniu tchórzliwej ucieczki w pozagrobowy „byt". Niedawno właśnie p. Starowieyska - Morstinowa stwierdziła, że konsekwentny ateizm jest zjawiskiem dość rzadkim, gdyż dość rzadko mają ludzie odwagę iść do ostatecznych wniosków swoich założeń.

Myślę, że ty również nie spojrzałaś nigdy tak głęboko jak ja.

Emil Zegadłowicz powiedział, że nie masz zmysłu kosmicznego, ze zmysłów najzacniejszego. Zresztą powołajmy się na wybitniejsze autorytety. Taki André Malraux pisał w „Nadziei", że najlepsze co człowiek może zrobić w życiu, to przemienić w świadomość możliwie największe doświadczenie. To wszystko! Obawiam się, że trochę mało. Wobec tego bowiem najbardziej upodlają-

[1]) Chodzi tu o Franciszka Bacona zwanego Werulamskim (1561 — 1626).

ce czyny są dobre, gdyż tak kiedyś się zdechnie. Oburzasz się! Rozumiem, już Aldous Huxley cierpliwie wywiódł w „Muzyce nocą", że można być konsekwentnym ateistą a żyć przyzwoicie i chełpliwie dodał: ja właśnie tak postępuję. No i czym się to skończyło? Dziś Huxley mówi: „Istnieje bóstwo lub zasada, która stanowi poza zjawiskowe podłoże wszelkich zjawisk: zasada ta jest pozaprzedmiotowa i wszechobecna a ostatecznym celem egzystencji ludzkiej winno być osiągnięcie poznania owej jedynej zasady". A. Malraux uzupełnia swoje przedwojenne stanowisko słowami: „Doświadczenie najbardziej pojemne zamieniać w czujne **sumienie**".

Jean Paul Sartre patrzy prawdzie ateizmu prosto w oczy, tak głęboko, jak tylko można. Bóg jest — wg niego — fundamentalnym **projektem** człowieka, jest wytęsknionym marzeniem, ale marzeniem złudnym — i wobec tego człowieka ogarnia rozpacz (désespoir) przed nieuchronną nicością. Mamy do wyboru dwie drogi: nihilizm lub wiarę. Możemy powtórzyć za Albertem Camusem, że „życie jest tylko szalonym zjazdem na wolnym kole w otwarty grób", albo też, jak uczy Norwid, iść za Zbawicielem z krzyżem swoim.

Śmiejesz się! Śmiech nie jest argumentem, tylko chęcią wykręcenia się od odpowiedzi.

Fakty mówią za siebie! — rzucasz. „Złudzenie! odpowiada Aldous Huxley — „Time must have a stop". — Fakty są tylko pseudo - mową brzuchomówców, którą dopiero trzeba interpretować. W interpretacji mądrego człowieka mogą przemówić słowami mądrości, w interpretacji inne o nie wyjaśniają niczego, lub układają się w słowne nonsensy, albo też zostają na wskroś przepojone szkodliwymi sugestiami".

Błąd twego rozumowania wykrył już kiedyś Julien Benda w „Cwiczeniu żywcem zakopanego" (Genève — Paris, 1945), w tej wspaniałej książce będącej generalnym rozrachunkiem klerka z okropnościami wojny i życia: „Istotnie wiem, że przekonanie o autonomiczności mego umysłu jest fałszywe. Wiem, że mój umysł jest materią i że ulegnie on zniszczeniu wraz z moim ciałem. Lecz czyż ci wszyscy, którzy żyli przede wszystkim umysłem nie popełnili tego samego błędu? I dlatego — dodaje Benda — serce każdego intelektualisty jest mniej lub bardziej spirytualistyczne". Ten sam pisarz, już w 1927 r., swą najgłośniejszą książkę „La Trahison des clerc" opatrzył charakterystycznym mottem: „Świat cierpi z braku wiary w jakiś ideał transcendentny". Rozumiesz teraz? Religia przestała być w naszej epoce, właśnie z powodu rozwoju naszej wiedzy, haszyszem dla maluczkich, stając się — być może — koniecznością dla intelektualistów.

Aksjomaty? Nie, nie potrafię dziś wskazać ci drogi. Sam jej jeszcze nie znam. Widzę tylko dwie ewentualności, **rzucam promień reflektora na jedyny naprawdę WIECZNY problem człowieczego istnienia: problem krótkości życia i nieuchronności śmierci.**[3])

Na te słowa, że optymizm jest łatwizną, jest stanem ciągłego zaślepienia — nie umiem dziś odpowiedzieć. Szukam... Szukam...

„Widzieć! Widzieć!" — wyrywa się Conradowi w „Zwierciadle morza". — Oto namiętne pragnienie zarówno marynarza jak i reszty ślepej ludzkości. Każde ludzkie stworzenie dąży do tego, aby widzieć jasno drogę przed sobą w ciągu naszego mglistego i burzliwego istnienia".

*
**

Sam opis, kawałek natury zobaczony przez pryzmat temperamentu artysty— jak chce Zola — jest czymś ważnym, ale nie ostatecznym dla pisarza. Bowiem nie mitycznego „czystego" piękna szuka współczesny człowiek w sztu-

[3]) Prosiłbym aby p. Henryk Markiewicz, jako autor artykułu „Niedokończone obrachunki fredrowskie". („Kuźnica", nr 203 i 204), raczył obalić ten punkt mego rozumowania!

ce, ale prawdy i poszerzenia wiedzy o otaczającym go świecie. **Cel szutki jest etyczny, nie estetyczny. Pisarz musi odpowiedzieć na dwa węzłowe pytania: po co się żyje i jak żyć należy.** Jeśli zaś nie wiadomo po co się żyje, postępowanie człowieka staje się czymś nieważnym. Wszystko jest dozwolone...

Nigdy nie przystanę na definicję prof. Tatarkiewicza („O szczęściu", 1947, str. 173, 4), iż „sztuka ma rozszerzać sferę wzruszeń ludzkich, dawać wzruszenia... Bowiem... zmierza ona ostatecznie do tego samego: **wzbudzać wzruszenia".** To prawda! Estetyczna koncepcja sztuki jest nieporozumieniem. Z nią walczyli konsekwentnie: Karol Irzykowski i Włodzimierz Pietrzak. „Nigdy dosyć nie można podkreślić roli pierwiastków etycznych w sztuce" — pisał ten drugi w „Czasie" z dnia 7 maja 1939 r. „Pisarz ma obowiązek rozwiązywania sprawy moralnej, stawiania wizji etycznej" dodawał w nr 37 „IKC" z tegoż roku. Doskonałość formalna dzieła podobna jest do koksu — otrzymuje się ją w formie odpadku podczas wytwarzania innego fabrykatu, można by sparafrazować huxley'owską definicję szczęścia z „Ostrza na ostrze".

Dobrze — odpowiecie. — Ale gdzie tu jest miejsce na wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu? Otóż to właśnie! Pokażcie mi chociaż **jednego** naprawdę wielkiego pisarza, który krytykując nie dawałby jednocześnie własnej koncepcji. „Gdyby zapadł się glob — pisze Pietrzak w essayu „Diagnozy" — a zostałyby jedynie dzieła Conrada, Dostojewskiego i Balzaca, można by z nich odtworzyć ziemię na nowo. Byłyby wtedy trzy globy, każdy z inną roślinnością, innym powietrzem, innym kodeksem moralnym, inną energią".

Ale „taka twórczość — pisał Pietrzak w 1939 r. w artykule „Panie na Parnasie" — jest ryzykiem. Gdy się nie udaje, przechodzi się nie do czytelni publicznych, a do lamusa literatury... Jeżeli zaś ryzyko się udaje, twórczość narodu bogaci się o dzieło genialne". Zresztą nie chodzi wyłącznie o geniuszy. „Klerkowstwo — notował Irzykowski w „Mostach" — jest to tylko sama czujność intelektualna, nie talent, i nie sama funkcja intelektualna, tylko funkcja czujności". Na to zaś może głoby się zdobyć wielu...

Na nas ciąży zadanie stworzenia nowej koncepcji życia. Bowiem od czasów Zoli, poprzez Gide'a, Prousta, Fourniera, Celine'a aż do Sartre'a — koncepcja życia zmieniła się w koncepcję nagrobka. Szczytem zaś tej koncepcji jest twórczość Remarque'a: „Trzej towarzysze" i „Łuk Triumfalny". Te dwie książki są symbolem.

*
**

„Drogi przyjacielu — pisał M. A. Wasilewski w „Liście do odchodzącego" („Tygodnik Powszechny" — rok 1949) — jeśli zdecydowałeś się odejść, będziesz musiał przewyciężyć wielką siłę przyciągania, którą katolicyzm wią że człowieka jak magnes żelazne opiłki. Nie uciekniesz od walki. Nie jest powiedziane, że oddalając się nie pójdziesz drogą, którą można by porównać do drogi odbywanej po pasie równika. Twoje pozorne oddalanie się osiągnie kiedyś swój punkt szczytowy, by później przywieść cię z powrotem ku tej samej prawdzie, którą opuściłeś".

Sądzę, że Wasilewski trafił w sedno zagadnienia. Powrót musi się zacząć, raczej już się zaczął, a „droga powrotu jest zawsze otwarta dla każdego". Ale nie wierzę w szczery powrót na pięć minut przed zgonem, który nie byłby tylko tchórzliwą ucieczką wobec nadchodzącej śmierci. Trzeba wrócić by stoczyć walkę o Prawdę, by osiągnąć miano pełnego realisty.

A wiedz, że najwspanialszą książką na świecie, książką, która pierwsza i dotąd jedyna odpowiedziała w sposób pełny i konsekwentny na dwa podstawowe pytania: po co się żyje i jak żyć należy — jest Ewangelia.

Ksawery Bohdański

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet Lubelski

Adam Weber

NA PROGU NOWEJ KULTURY

(artykuł dyskusyjny)

Rewolucja i zamach stanu — nie jest to samo. Rewolucja — to nie tylko personalna zmiana składu rządzącego kompletu; to zmiana całego ustroju; to potężny wstrząs gospodarczy, społeczny, narodowy, który domaga się uzasadnienia — uzasadnienie to automatycznie staje się konsekwencją każdej rewolucji — w gruntownych przeobrażeniach całego stylu życia, w zasadniczych przesunięciach klasowych, w dopuszczeniu nowych warstw ludności do użytkowania przywilejów dotychczas dostępnych, jedynie węższemu gronu konsumentów. Dotyczy to również ludzkiej działalności — biernej i czynnej, twórczej i absorbującej — nazywanej kulturą, w najszerszym znaczeniu.

Jednym z rezultatów najpierw Rewolucji Angielskiej, potem Rewolucji Francuskiej było rozszerzenie się czynnego, bodaj nawet decydującego, udziału w kulturze narodowej na warstwę mieszczańską, która od tamtego czasu, aż po dzień dzisiejszy tego prymatu kulturalnego jeszcze się nie wyzbyła. Proletariat wiejski czy miejski nadal jeszcze konsumuje kulturę mieszczaństwa, a synowie protestujący stający się nawet sami twórcami na ogół przystosowują się do stylu kutlury mieszczańskiej. Po Rewolucji Francuskiej opóźnienie kulturalne wobec zdobycia praw politycznych dało się wyraźnie obserwować na gruncie mieszczaństwa. Długo jeszcze nie potrafią wytworzyć własnych wartości kulturalnych i nie przyznając się do tego, absorbowało kulturę feodalno - szlachecką. Zjawisko podobne powtarza się obecnie.

Związek Radziecki jest kolebką rewolucji socjalistycznej, która m. in. też i dlatego zaistniała by następnej z kolei klasie, proletariatowi, udostępnić, obok wartości i praw politycznych, również wartości i prawa kulturalne. Związek Radziecki już ponad trzydzieści lat konsekwentnie organizuje nową, proletariacką, bazę kulturową.

Sprawa tworzenia nowej kultury, a przede wszystkim sztuki, nigdy nie była łatwa i łatwa nie jest teraz. W każdym porewolucyjnym okresie sytuacja była bowiem tego rodzaju, że długi jeszcze czas po zmianach politycznych twórcy rekrutowali się albo z kadr przedrewolucyjnych, kiedy to przygotowywanie rewolucji zawsze wymagało innego stylu twórczości, niż ten, jaki należy stworzyć już po rewolucji; albo byli to przedstawiciele kultury przeciwko której wybuchła rewolucja, więc będąc nawet rozumowo przekonanymi o słuszności przewrotu, nie byli na ogół w stanie zmienić sposobu swego tworzenia, a dotychczas tworzyli przecież dla kogoś zupełnie innego. Wreszcie pierwszy szereg już nowych, młodych, porewolucyjnych twórców, też w praktyce rekrutuje się z wychowanków jeszcze starych systemów — i choć treść ich myśli jest już politycznie nowa, to forma w jakiej wypowiadają się jest jeszcze nie zawsze niezrozumiała dla tych warstw, dla których kulturę i sztukę należy tworzyć.

Rzecz bowiem w zasadzie jest bardzo prosta. Nowa sztuka musi być dostępną i zrozumiałą dla znacznie szerszego grona odbiorców niż sztuka stara, dotychczasowa. Elita kulturalna rewolucji rekrutująca się na ogół z wychowanków poprzedniego etapu kutluralnego nie zawsze potrafi sztukę swoją uczynić zrozumiałą. I odwrotnie — twórca rekrutujący się z nowych warstw, twórca już wyrażający nie tylko treścią, ale i formą nową sztukę — nie zawsze bywa należycie oceniony przez gusty jeszcze kształtowane przeszłością. Balzak zanim się stał — już po swej śmierci — czołowym prozaikiem sztuki mieszczańskiej, za życia dość nisko był ceniony przez jury tamtejszego parnasu kulturalnego; parnasu już przecież mieszczańskiego, boć cała tytułowana arystykracja ówczesnego Paryża pierwszej czy drugiej restauracji w gruncie rzeczy nosiła się, żyła i myślała już jak burżuazja, ten wytwór mieszczańskiej rewolucji. Balzak nie znalazł uznania.

„Piotr I" Alek „o Tołstoja, arcydzieło światowej klasy — jest czytywany u nas w Polsce, wyłącznie przez inteligencję w znacznej mierze mieszczańską. Winę ponosi tu skomplikowana forma powieści, wymagająca od czytelnika wyrobionego gustu w tego rodzaju „urywkowej" konstrukcji. Nie jestem pewien czy „Piotr I", będzie dziś jeszcze reprezentatywnym dziełem radzieckiej sztuki okresu wczesnoporewolucyjnego — za kilkadziesiąt lat, kiedy wyrośnie już naprawdę nowa sztuka proletariacka, czy i wtedy pozostanie jej czołową pozycją. Balzak — był prekursorem sztuki mieszczańskiej. Czy Tołstoj Aleksy nie jest czasem wspaniałym epigonem tejże sztuki? Zobaczymy.

To co powyżej napisałem sugeruje istnienie jakiejś odrębnej kutlury proletariackiej, podczas gdy przeciwko temu rodzaju ujęciu podnoszą się liczne i zasadnicze sprzeciwy właśnie polityków markistowskich, a ewolucje kulturalne Związku Radzieckiego też wykazały absurd istnienia jakiejś separowanej od tradycji i historii kultury proletariackiej. Oczywiście, że nie ma mowy o jakiejś kulturze proletariackiej, oderwanej od korzeni historii, tradycji, obyczaju narodowego. Nie ma mowy właśnie dlatego, że najszersze masy — te potrzebujące owej proletariackiej kultury — są z natury rzeczy najbardziej ściśle związanymi właśnie z tradycyjnymi, ludowymi wartościami, gdyż wartości te są zrozumiałe i proste. Zjawisko kutluralnego kosmopolityzmu, nigdy nie występowało w szerokich masach narodu, ale jedynie wśród górnej elity, rodowej, pieniężnej czy intelektualnej. Zauważmy ciekawe podobieństwo: Katolicyzm posiada ogólno ludzką naukę, posługuje się wszechludzkimi, wszech-narodowymi przykazaniami i zaleceniami. Sztuka katolicka, która z istoty rzeczy jest przeznaczona do jaknajszerszego odbioru, nie istnieje w sensie międzyrodowym, — przeciwnie, jest wybitnie narodowa, ludowa, w każdej części świata najzupełniej odmienna, wyrażająca tą samą treść w zupełności innych formach, w innym prostym, regionalnym obyczaju. Cele rewolucji są ogólno światowe, wszechproletariackie; sztuka rewolucyjna jest ludowa, gdyż przeznaczoną będąc dla najszerszych warstw musi być najszerzej zrozumiałą. A będzie nią właśnie wtedy gdy sięgnie do skarbca wartości tradycyjnie ludowych. Tu tkwi źródło decyzji kulturowych, powziętych przez kierowników życia społecznego w Związku Radzieckim.

Przeciw tym decyzjom — czy będzie to muzyka, czy malarstwo, czy literatura — podniosły się głosy sprzeciwu i oburzenia. Oburzenia w obozie przeciwników rewolucji, którzy oskarżają o obniżenie poziomu kutlury. Sprzeciwy nawet we własnym obozie rewolucji, pewna część której twórców — jak napisałem — wychowana jest jeszcze w zupełnie innych regułach pojęć estetycznych. Tymczasem tam, gdzie w grę wchodzi zdobywanie przez dotychczas upośledzone grupy swego nowego prawa do kultury — tam kryteria estetyczne warstwy zmierzchającej naprawdę nie odgrywają żadnej praktycznej roli.

Na tym tle urasta swoista tragedia wielu postępowych twórców. Doświadczenia wskazują, że poważna część lewicowych artystów protestujących przeciw ustrojowi kapitalistycznemu w państwach, g zie ustrój ten istnieje, demonstrują swą wrogość wobec mieszczańskiej sztuki właśnie wszelkiego rodzaju ekstrawagancją formalną, łączącą się z reguły z buntowniczą treścią. Futuryści, awangardziści, surrealiści — toż to w krajach kapitalistycznych twórcy często należący do partii komunistycznych. Rozbijają oni utarte formy sztuki mieszczańskiej, udziwaczniają je, odkrywają podskórne związki, które chcąc oddać ją chwytami formalnymi częstokroć rodzą dziwactwa. Rewolucja wielu lewicowych artystów państw kapitalistycznych nie szła w kierunku popularyzowania sztuki wśród najszerszych mas, lecz przeciwnie — przez udziwacznianie formy, udziwacznianie będące huntem przeciw zastanemu, ich sztuka stawała się zrozumiałą jedynie dla niezwykle skromnego grona, już nawet nie całej elity intelektualnej, ale tylko części obserwującej specjalne gusta. Przybosia poezja, Picassa malarstwo — oto klasyczne przykłady. Przykłady zresztą wskazujące na tragedię ich twórców — rozumieją oni konieczność sztuki zrozumiałej dla szerokich, dopiero wkraczających w życie kulturalne, mas ludowych, a równocześnie widzą, że ich własna sztuka, która dotychczas była buntem przeciw mieszczaństwu, w zmienionej sytuacji społecznej staje się wyrazem elitarnego formalizmu, którego masa narodu nie rozumie, który się jej nie podoba. Wspaniałe płótna i freski Picassa, nie budzą w kraju socjalizmu żadnego kulturalnego echa, gdyż do ich apercepowania trzeba nie tylko wysokiego wykształcenia specjalnego, ale i dość rzadkiego na ogół smaku. Tutaj też tkwi problem „Zielonej Gęsi" — będącej dużym, wydarzeniem kulturalnym. W przyszłości historycy literatury poświęcą mu całe tomy, które to jednak wydarzenie w chwili obecnej jest raczej echem przeszłości, aniżeli muzyką przyszłości.

Obecna sztuka proletariacka, ściśle wyrasta z gleby kultury narodowej. Natomiast nowa sztuka, ta która będzie kwiatem i rezultatem przemian rewolucyjnych zaszły na gruncie politycznym, społecznym i gospodarczym — będzie różniła się od każdej dotychczasowej zupełnie zasadniczo. Literatura jest najkapitalniejszym elementem sztuki narodowej. Właśnie na przykładzie literatury szczególnie ostro uwidoczni się ta rozmaitość, odmienność — tak jak stosunkowo słabo odmienność ta wystąpi w sposób zrozumiały w sztukach czysto formalnych jak muzyka czy architektura. Literatura — to dzieje życia człowieka na ziemi. Otóż w dziejach tych zachodzi zmiana tak zasadnicza, jak żadna dotychczas.

(Dokończenie na str. 12)

Włodzimierz Majakowski

DOBRZE

Poemat październikowy

(fragment)

Mróz trzaskający.
Zima —
niczego.
A bluzy się lepią
od potu
A w bluzach komuniści
Ładują drzewo.
Czas:
Popołudnie.
Sobota.
My nie odejdziem,
choć odejść może
i nikt
do pracy
nie goni.
N a s z e my drzewo
na n a s z y m torze
Ładujemy na n a s z e wagony.
Do późna
dziś nam
pracować potrzeba.
Choć
wolno
odejść i zaraz nam
N a s z y m towarzyszom
n a s z e g o drzewa
trza:
towarzysze marzną.
Roboty tej
nie odrobić w mig,
nie zarobić
przy niej
kopiejek.
Lecz my pracujemy
jak gdybyśmy
tworzyli
najwspanialszą epopeję
Ładować
będziem
setki
pni,
by życie,
kręcąc kołami dni,
pędziło
żelaznym marszem
w n a s z y c h wagonach,
w biel n a s z y c h żniw
w przemarźnięte
republiki
n a s z e.
„Wujciu
co wy robicie tu,
wszyscy
wujciowie duzi?"
— Co?
Socjalizm:
swobodny trud
swobodnie
zrzeszonych ludzi.

„ŻYCIE WNĘTRZE I WYSTAWA"

Wojciech Kętrzyński

DWIE rzeczy muszą się jednocześnie rzucić w oczy powierzchownemu nawet obserwatorowi współczesnego życia francuskiego — to, że mimo wojny, zniszczeń i coraz to ponawiających się kłopotów gospodarczych, tchnie ono wyraźnie komfortem i luksusem, że życie jest „łatwe", oraz, że jednocześnie społeczeństwo francuskie nurtują głębokie konflikty wewnętrzne, że istnieje w nim nagromadzony ogromny potencjał niezadowolenia, wręcz buntu przeciw jakimś, najwidoczniej ukrytym wewnętrznym chronicznym dolegliwościom.

Istnieje we Francji, wiemy o tym już dobrze, zjawisko „splendoru na sprzedaż". Istnieją pewne pozory, utrzymywane celowo tylko po to, by skusić do przyjazdu, bogatą, turystyczną klientelę, nakłonić do kosztownych rozrywek, zmusić do pozostawienia na miejscu największej ilości cennych dewiz. Nie potrzeba jednak żadnych dogłębnych studiów politycznych czy ekonomicznych, by po paru tygodniach pobytu, zwłaszcza jeśli się samemu nie należy do tych „wybranych", nauczyć się rozróżniać tę sztuczną dekorację od reszty, normalnego i codziennego życia francuskiego. Nawet ta przeciętność jednak wydaje się być na pozór bardzo dostatnia, przyjemna, materialnie beztroska, pozbawiona większego wysiłku, umiarkowana i spokojna. Na ulicach nie spotyka się jaskrawej nędzy, żebracy w dalszym ciągu wydają się być raczej dziwakami lub nabieraczami, niż po prostu głodnymi. Rozgrywki między partiami mieszczańskimi nie pasjonują dziś nikogo, wprost trudno przeciętnego Francuza skłonić do wyrażenia swych politycznych poglądów, troska o przyszłość kraju. wydaje się być w umysłach wielu wprost wyeliminowana przez proste przekonanie, że rolą Francji w najbliższym okresie, jest absolutna bierność, ograniczenie się faktyczne do postawy widza, który się w żadnym razie narażać nie będzie.

Wiemy równie dobrze, że istnieje we Francji, tak jak w niemal że każdym społeczeństwie, mocna tendencja do malkontenctwa, do rezonerstwa, do opozycyjności. Francuzi w tej postawie niewątpliwie celują. Trudno jednak przypuszczać, że koncentracje policji wokół Izby Deputowanych w dniu ważniejszych obrad, jej niesłycha na brutalność w rozpędzaniu wsze lakiego rodzaju demonstracji, strajki nurtujące nieprzerwanie życie gospodarcze francuskie, bez radność rządów, ostrość wystąpień opozycji lewicowej, nahalność prawicowych deklaracji, że to wszystko jest wyłącznie normalnym przejawem niespokojnego i demagogicznego ducha francuskiego.

Dotarcie do źródeł kryzysu, do najbardziej podstawowych przyczyn niezadowolenia jest pierwszym warunkiem wyrobienia sobie obiektywnego sądu o istotnej treści francuskiego życia politycznego. Na przeszkodzie stoją tu nie tylko celowo kultywowane pozory, o których wspomnieliśmy powyżej, lecz i przede wszystkim fakt, że formowana przez mentalność mieszczańską większość francuskiej opinii publicznej sama sobie nie zdaje sprawę z istoty wewnętrznych trudności. Piętrzące się konflikty społeczne budzą, w reakcji przeciętnej, odruchy zniecierpliwienia i złości. Dla ludzi wychowanych na złudach solidaryzmu — są one wyrazem albo pożałowania godnych nieporozumień, albo też oczywistej złej woli stron, „które nie chcą się pogodzić". Czołowy, półurzędowy dziennik katolicki „La Croix" notuje codzienne problemy społeczne pod wielomówiącą rybryką „społeczne niepokoje" — „agitation sociales". Starcia polityczne zaś, w oczach tych samych, mogą być tylko wyrazem personalnych ambicji, nieodpowiedzialnych przywódców, lub też są odbiciem działalności jakichś obcych „piątych kolumn" wewnątrz społeczeństwa. Trudności gospodarcze wreszcie mogą być spowodowane tylko niezaradnością biurokracji, lub też konsekwencjami wojny, które pokonać można będzie wyłącznie dzięki wzmożonej ofiarności „bogatego wujaszka z Ameryki". O tym natomiast, by się istotnie mogło „źle dziać w państwie duńskim", by coś istotnego szwankowało w organiźmie francuskim — o tym opinia publiczna nie tylko nie wspomina, lecz z oburzeniem takie „insynuacje" odrzuca.

Nie cała jednak. Istnieją w rzeczywistości trzy różne odłamy francuskiej opinii publicznej. Najpotężniejsza jest niewątpliwie ta typowo mieszczańska opinia, formowana przez olbrzymią większość współczesnej prasy, wyraża na przez przedstawicieli średniego i drobnego mieszczaństwa, która streszcza się w następującej dewizie — „Dobrze jest jak jest, ale mogło być lepiej, gdyby w ogóle po wojnie nie wszczęto tych przeklętych reform". Istnieje mniej lub bardziej jawnie się wypowiadająca opinia prawicy—„Źle jest, bo brak jest energicznych ludzi u władzy, którzy by potrafili mocną ręką zaprowadzić porządek. Ponieważ wszyscy na raz nie mogą być zadowoleni — trzeba zadowolić część (to znaczy siebie), a resztę trzymać w ryzach". Istnieje wreszcie opinia lewicowa, która wykazuje bez przerwy, że istniejący ustrój społeczny oparty jest na krzywdzie ekonomicznie słabszych, że w istocie bije w interesy szerokich mas, i że nieuchronnie prowadzi do katastrofy, jeśli nie zostanie rychło obalony i gruntownie przebudowany.

„BAJECZNA KONJUNKTURA"

Tajemnica rzeczywistego stanu dobrobytu opiera się na dwóch elementach: na wysokich zyskach wszelkiego typu pośrednictw handlowych, oraz na zewnętrznych efektach pomocy amerykańskiej.

W roku 1944, w chwili wyzwolenia Francja znalazła się w tej samej sytuacji ekonomicznej, co większość krajów po okupacji niemieckiej. Masa bezwartościowego pieniądza na rynku, chaos cen, spekulacje czarno-giełdowe, owiane nimbem patriotycznego sabotażu gospodarczego — w pełni rozkwitu. Obieg banknotów w roku 1944 był sześciokrotnie wyższy niż w r. 1938, zaś wartość produktów w dyspozycji, kalkulowana według cen urzędowych, była zaledwie trochę wyższa niż odpowiednik z roku 1938. Konieczność wymiany pieniędzy z zablokowaniem sum powyżej pewnej określonej normy narzucała się sama przez się. Zastosowana ona została z powodzeniem w Polsce, w większości krajów Europy wschodniej, nawet w Belgii. Jednak egalitarny charakter takiego pociągnięcia raził francuskie sfery finansowe. Zastosowano klasyczną metodę inflacji, która w pierwszym rzędzie uderzała w interesy mas proletariackich, uzależnionych od sztywnych zarobków o coraz to mniejszej wartości rzeczywistej. Jeśli w warstwach średnich na tym stanie rzeczy cierpieli też niewątpliwie niektórego typu urzędnicy emeryci czy rentierzy, o tyle jednak niesłychanie szeroka marża zysków dla wszelkiego rodzaju elementów gospodarczych pośredniczących, powodowała w rzeczywistości olbrzymie zarobki dla znacznej większości średniego mieszczaństwa.

„Powojenne warunki ekonomiczne, stwierdza znawca tej dziedziny Dominique Olivier, otworzyły klasom średnim najzupełniej niespodziewane warunki społecznego awansu. Przez samą istotę czarnego rynku, jak również przez samą stałą zwyżkę cen oficjalnych, która zapewnia poważne zyski tym, którzy umieją na czas kupić i „po czasie" sprzedać — handlarze hurtowi i znaczna ilość detalistów wzniosła się cudownie na poziom życia materialnego, który ich zrównywa z wielkimi przemysłowymi bogaczami. Spotykają się więc dziś w paryskich restauracjach i na modnych plażach. Nowobogaccy nie ukrywają swego, z tego stanu rzeczy, zadowolenia".

Nie potrzeba dodawać, że tego typu zarobki rosną niezależnie od tego, czy gospodarka ogólna przysparza, czy umniejsza potencjał ekonomiczny społeczeństwa, niezależnie również od dobrobytu czy biedy innych warstw społecznych. Rzecz również oczywista, że taka „konjunktura" bynajmniej nie przysparza dobrobytu warstwom proletariackim, najwyżej powoduje, że jednostki, zdemoralizowane i oderwane od trybu życia i pracy robotniczej czy urzędniczej — zatapiają się w ogólnej rzeszy nuworiszów.

Pomoc zaś dostarczoczona poprzez tzw. plan Marshalla, przez rzucenie na rynek licznych towarów, otrzymanych na kredyt a nie wytworzonych w kraju, spowodowała nową fazę dobrobytu pośredników. W istocie mało się oni troszczą, czy dzięki temu Stany Zjednocze stają się panem francuskiej gospodarki, czy też nie. Dziś zaś, gdy nadmiar pewnego typu towarów zwłaszcza luksusowych przekroczył możliwości popytu, nie zagraża to w istocie również interesom średniego typu handlarzy. Kapitały ich bowiem nie są zaangażowane w towarze danym na kredyt. Można więc swobodnie szukać w dalszym ciągu korzystnych transakcji tam, gdzie rynek się jeszcze nie zapełnił.

Ujawnia się natomiast coraz wyraźniej proces zwężania się zakresu tej „bajecznej konjunktury". Coraz mniejsza staje się liczba „wybranych", cieszących się w dalszym ciągu nieograniczonymi zarobkami. „Średniacy" jednak ciągną jeszcze, czepiając się kurczowo każdej możliwości, by nie wypaść z wymarzonego kręgu nowo-bogackich. Taka atmosfera sprzyja rzecz oczywista wszelkim manewrom politycznym, grającym na tzw. „wolności ekonomicznej" (czytaj: utrzymanie czarnego rynku), powodują urzędowe i półurzędowe machinacje gospodarcze, montujące sztuczne konjunktury, protekcyjne transakcje — jak głośna niedawno „afera win", czy utrzymywanie podwójnego rynku benzynowego.

DZIEJE SIĘ DOBRZE, CZY ŹLE?

Za tymi pozorami dobrobytu, poza euforią klasycznych środowisk spekulanckich — kryje się skrzętnie ukrywany niepokój gospodarczy słabszych ekonomicznie mas, kryje się codzienna walka z materialnymi trudnościami społeczeństwa, które istotnie ma ambicje kulturalne tak duże, że mu nie pozwalają na łatwą rezygnację z raz przyjętego poziomu życia. Trzeba więc przełamać te opory, przełamać osobistą dumę czy wstydliwość w obliczu materialnych trudności, by dotrzeć do sedna rzeczywistych francuskich kłopotów ekonomicznych.

Dochód narodowy francuski wynosi teoretycznie około 400 miliardów franków rocznie. Można wątpić czy jest to cyfra dokładna, biorąc pod uwagę, że istnieje wiele czynników skłonnych do zatajania swych rzeczywistych ekonomicznych osiągnięć; część zaś tegoż dochodu narodowego francuskiego znajduje się już praktycznie w rękach obcych, zwłaszcza amerykańskich — powstaje więc drażliwe pytanie: czy należy je przeto zaliczać do francuskiego, czy amerykańskiego dorobku?

Całość strat wojennych francuskich, które są poważne, ale zlokalizowane i rzecz prosta, nie porównują się jednak do strat polskich — wynoszą około 650 miliardów franków. Po czterech latach, mimo pozorów dobrobytu, mimo licznych i różnorodnych zastrzyków finansowych amerykańskich — zainwestowano w odbudowę tylko 200 miliardów franków. Z tego oczywiście nie wynika, by odbudowano choć jedną trzecią zniszczeń. Przeciwnie, biorąc pod uwagę fakt, że bezrobocie z miesiąca na miesiąc we Francji powiększa się według statystyk o 5 proc., że łącznie z bezrobociem nie rejestrowanym osiąga już cyfrę około 100.000 ludzi, oraz drugie tyle pracujących mniej niż 40 godzin tygodniowo (pół-bezrobotni), stwierdzając zaś z drugiej strony, że wśród ogólnego wzrostu bankructw — drugie miejsce zajmują przedsiębiorstwa budowlane, a trzecie metalurgiczne — trzeba stwierdzić, że wysiłek inwestycyjny i odbudowy został poważnie zahamowany i że nie zanosi się, by nawet w ciągu piętnastu lat po wojnie Francja zdołała zabliźnić rany zadane kolejno przez niemieckie i anglosaskie ofensywy.

Kryzys ekonomiczny ukryty, ale groźny wyłania się również ze znanego Polsce przedwrześniowej problematu rozpiętości cen przemysłowych i rolniczych. Powoduje w rezultacie ogólny rozstrój organizmu gospodarczego, a niezmiernie boleśnie odbija się na odcinku społecznym. Jeśli bowiem przyjąć wspólny wskaźnik 100 dla cen przemysłowych i rolnych w roku 1948, to wynoszą one kolejno 110 i 114 dla przemysłu w pierwszym i drugim kwartale 1949, a 90 i 86 w tym czasie dla rolnictwa. Ropiętość więc cen rolniczych i przemysłowych osiąga w drugim kwartale 1949 wskaźnik 26, czyli powiększyła się od 1948 o jedną czwartą. Nic więc dziwnego, że bankructwa w zakresie handlu rolnego zajmują pierwsze miejsce w wykazie i tak niepokojącym globalnie na pierwszy kwartał 1949.

Jeśli do tego dodamy, że dług francuski wobec Stanów Zjednoczonych wynosi około 25 miliardów dolarów, czyli przeszło dwudziestokrotny dochód narodowy francuski, (w przeliczeniu sprzed dewaluacji franka), że rok rocznie powiększa się dług państwowy wewnętrzny, osiągając dziś 700 miliardów fr., że wreszcie, w roku 1952 kończy się bezapelacyjnie pomoc amerykańska z tytułu planu Marshalla — mamy obraz jaskrawo kontrastujący z popularnymi i optymistycznymi wnioskami, jakie nasuwają zewnętrzne formy życia mieszczańskich środowisk.

KTO PŁACI?

Francja nie jest i nigdy zresztą nie była krajem biednym. Naród francuski, pracowity i gospodarny w swej większości dorobił się w ciągu XIX wieku znacznych bogactw. Bezwzględną ręką potrafił też czerpać z bogactw swego kolonialnego imperium. Jeśli dwie wojny światowe, które przewaliły się przez ten kraj i ogólnoświatowy kryzys kapitalistyczny między wojenny nadszarpnął poważnie

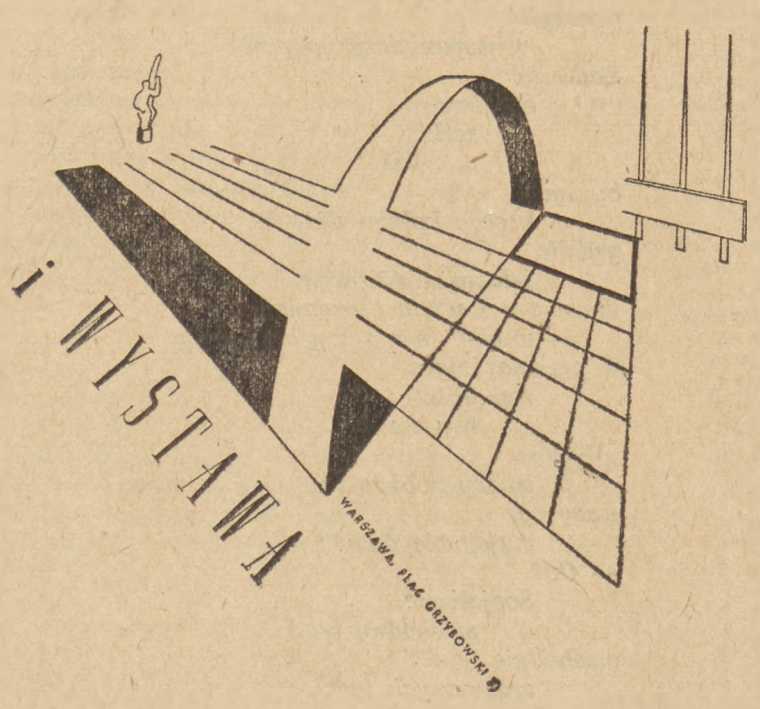

ŁATWE"

Francja A. D. 1949

ten dorobek, to jednak przetrwała olbrzymia większość wkładu inwestycyjnego bogactwa mineralne francuskie pozostały w ogromnej większości nietknięte, natomiast energia społeczeństwa, zwłaszcza jego warstw pracujących wzmogła się po przejściach wojennych wielokrotnie, co potwierdzają zgodnie wszyscy obiektywni obserwatorzy.

Jeśli więc dziś przychodzi tak ciężko przebijać się przez widmo generalnego kryzysu gospodarczego, to głównych tego przyczyn nie można szukać przede wszystkim w konsekwencjach wojennych. Trzeba powiedzieć szczerze, że Francja przedwojenna żyła gospodarką rabunkową, że windowanie dochodów koncernów kapitalistycznych odbywało się nie tylko kosztem mas pracujących, lecz i również kosztem narodowego majątku, w który nie inwestowano, nie unowocześniano, nie rozbudowywano. Nic też dziwnego, że przeciętna wydajność pracy na zachodzie Europy wynosi niemalże połowę tejżeprzeciętnej w Stanach Zjednoczonych (2,5 : 4,5).

Któż za to dzisiaj płaci? Nie finansiści francuscy, którzy potrafili się szybko przystosować do ograniczonej, ale bądź co bądź intratnej roli, jaką im wyznaczył kapitał amerykański. Dywidendy wielkich kapitalistycznych przedsiębiorstw wykazują po wojnie stałą zwyżkę — od 0,55 proc. w r. 1945 do 2,5 proc. w lipcu 1949. Zagadnienie rywalizacji międzynarodowej nie wchodzi tu bowiem w ogóle w rachubę, biorąc pod uwagę, że supremacja kapitału amerykańskiego jest na zachodzie Europy absolutna. Nie mieszczaństwo francuskie, które ostro atakowane w dziedzinie społecznej i politycznej, broni się jeszcze jak widać skutecznie na pozycjach spekulacji. Ciężar ekonomicznych konsekwencji powojennych eksperymentów, polityki inflacyjnej, gry cen oficjalnych i wolno-rynkowych — spoczywa na tych warstwach, które dają swą pracę wzamian za płacę — na niższych urzędnikach, na robotnikach, na rzemiośle robotniczym, na tych, których praca jest głównym źródłem utrzymania. Na świecie pracy, pojętym najkonkretniej bez żadnej politycznej frazeologii.

Notowaliśmy w poprzednim artykule z obiektywnym zadowoleniem, że żywotność biologiczna narodu francuskiego wzrosła ostatnio, że środowiska mieszczańskie otrząsnęły się z atmosfery demoralizacji rodzinnej, że dzietność w tych środowiskach podniosła się po wojnie poważnie. Nie znaleźliśmy niestety danych, pozwalających nam przestudiować dokładniej położenie innych klas na tym odcinku. Przeprowadzone pod kontrolą państwową badania statystyczne wykazują jednak, że jeśli chodzi o rodziny z jednym czy dwojgiem dzieci, to ilość ich w środowiskach robotniczych przewyższa wyraźnie w stosunku do typowych środowisk mieszczańskich, jednak od trojga dzieci wzwyż zaczynają przeważać rodziny mieszczańskie nad robotniczymi, zwłaszcza w wielkich uprzemysłowionych miastach, jak Paryż, Lyon czy Marsylia. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że przeciętny budżet rodziny z 3 dzieci wymaga, poza przyznanym przez państwo dodatkiem **rodzinnym — mniej więcej 42.000** franków dochodu, a pięciorgiem — 72.000 franków. Przy trudnościach ze służbą, niemożliwości więc pracy obojga rodziców — są to pozycje przeciętnie nieosiągalne dla środowisk pracowniczych.

Głośny w swoim czasie strajk górników francuskich wydobył na światło dzienne zagadnienie płac robotniczych. Jeśli najlepsze płace górnicze wynosiły wówczas do 30.000 franków miesięcznie, to przeciętne płace wahały się od 13 do 16 tysięcy, rzadko tylko dochodząc do 20.000.

W Paryżu zaś w dziedzinie luksusowej wytwórczości wielkich domów mód, popularne midinetki zarabiają, po sześciu latach praktyki — siły samodzielne do 25.000 franków, inne od 5 do 17 tysięcy miesięcznie. Strajk, który wybuchł w tym roku w lecie wynikł z żądania podwyżki płac, która by cenę przeciętnego kostiumu damskiego, (90.000 fr.), podniosła najwyżej o 2,5 proc. Właściciele domów mód kategorycznie odrzucili to żądanie, twierdząc, że nie mają z czego podwyższać, zaś cen podnosić nie zamierzają przez wzgląd na zagraniczną konkurencję. Strajk po 2 tygodniach załamał się.

Nic dziwnego przeto, że oficjalne statystyki notują w samym Paryżu przeszło 1.500 rodzin wielodzietnych, których dochód nie dochodzi nawet do 15.000 franków, gdy powinien wynosić 72 tysiące! Statystyki te nie mówiąc nic o ilości rodzin, których dochód nie pozwala wychować w przeciętnych warunkach trojga dzieci!

Ciesząc się więc z odrodzeńczej tendencji biologicznej w społeczeństwie francuskim dalecy jednak jesteśmy jeszcze od uznania tego zjawiska za trwałe i społecznie ugruntowane. Jeśli przeciętna nadwyżka urodzin jest, jak stwierdziliśmy poważna, to śmiertelność jest większa niż w Polsce, mimo naszych przejść wojennych (122 na 10.000 mieszkańców, gdy u nas 112). Śmiertelność na gruźlicę wynosi we Francji 14 na 10.000, to znaczy tyle ile w Polsce w najcięższym pod tym względem ośrodku — w Łodzi, podczas gdy nasza przeciętna wynosi 12 na 10.000, a w Katowicach osiągnęliśmy nawet 6,6. Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że te stosunkowo wysokie cyfry dla społeczeństwa francuskiego odzwierciadlają przede wszystkim ciężkie warunki środowisk robotniczych.

To jest cena, którą się płaci za „łatwe życie" francuskiego mieszczaństwa.

KONTRAST JEST ZBYT DUŻY

Jeśli cyfry powyższe wskazują na powagę trudności materialnych z jakimi się dziś we Francji borykają masy pracujące, to jednak bynajmniej nie wskazują, poza sporadycznymi oczywiście wypadkami, na stan nędzy, jaki na przykład panował n tym odcinku w połowie XIX wieku. To nie jest rzecz oczywista jaskrawa nędza. To jest jednak stan czasami niemniej dotkliwy, stan stałych codziennych ograniczeń, które nie tylko drążą zdrowie fizyczne, lecz przeżerają dusze goryczą, wielu prowadzą po drodze społecznego buntu, ale i wielu po drodze upodlenia i powolnego, nie zauważalnego odczłowieczenia. Stan ten prowadzi do powstawania obok siebie dwóch, odrębnych kultur, z których tylko jedna daje pełne prawo do radości, do pełni życia, do pełnego rozkwitu osobowości i inteligencji. Druga wychowywałaby swoistych „untermensch'ów", gdyby nie to, że klasowy instynkt samozachowawczy nie pozwala tym środowiskom pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy i każe im walczyć, mimo, że walka ta w istocie obciąża je dodatkowymi, nowymi trudnościami materialnymi. Trzeba się wczuć w sytuację środowisk robotniczych, by zdać sobie sprawę, jakiej odwagi moralnej i fizycznej wymaga w takich warunkach decyzja przystąpienia do strajku.

Biorąc pod uwagę ogólny dość wysoki standart życia materialnego we Francji — problemy ekonomiczne stają się dotkliwe dla mas pracowniczych właściwie dopiero na tle kontrastu panującego między ograniczeniami jednych, a przepychem drugich.

„Człowiek może być tylko względnie szczęśliwy, powiedział Marks. Tak samo bieda i nędza, to całkiem względne, pisze Biskup Alfred Ancel w swej wstrząsającej rozprawie o mentalności robotniczej. To co jest straszne — to kontrasty!

Wypomina się czasem robotnikom ich bunt, ich nienawiść. Ustawmy się na ich miejscu i spróbujmy zrozumieć.

Ja nie jestem robotnikiem. Jestem księdzem. Wierzę, że nie noszę w swym sercu ani buntu ani nienawiści. Przyznaję jednak, że nie mogę dłużej patrzeć na dzisiejszy luksus w czasach biedy, bez głębokiego bólu. Kontrast jest zbyt duży!"

Kontrast ten jednak najbardziej daje się odczuć w problematyce kultury. We Francji jest dziś nie cały tysiąc szkół średnich II stopnia publicznych. Uczęszcza do nich przeszło 427 tysięcy uczniów. Dla wielu miejsca brak. Jest jednocześnie półtora tysiąca podobnych szkół prywatnych do których uczęszcza tylko 300 tysięcy uczni — bogatszych. Na utrzymanie i kształcenie dziecka trzeba przeznaczyć około 10.000 franków. Trzeba je mieć. Jak nie — kończy się publiczną szkołę podstawową i idzie się do terminu.

Francja posiada 17 wyższych uczelni państwowych. Uczęszcza do nich 130 tysięcy młodzieży. Na uniwersytety francuskie uczęszcza jednak tylko 2 proc. dzieci rodzin robotniczych i 5 proc. dzieci rodzin rzemieślniczych i drobnych niezależnych pracowników. Dane te cytuje konserwatywny „Figaro", którego doprawdy trudno posądzać o demagogię w tej dziedzinie! Istnieją szkoły wyższe w których obowiązuje jeszcze cenzus majątkowy, są inne, do których wpisowe wynosi minimum 40 tysięcy franków. Kultura francuska, jedna z najpiękniejszych kultur współczesności — nie jest własnością narodu francuskiego. Jest własnością tych, których stać na wkupienie się w jej progi.

Francja jest krajem pięknym, porywającym. Życie francuskie posiada uroki nieporównywalne. Mimo chaosu gospodarczego i politycznego, niektóre osiągnięcia Francji współczesnej biją w oczy. Kultura, a zwłaszcza twórczość intelektualna francuska odradza się niespodziewanymi wzlotami.

A jednak — za tym wszystkim kryje się tragiczna rzeczywistość społeczeństwa, które nie potrafiło dotąd rozwiązać, choć posiada ku temu środki i zdolności, kardynalnego problemu współczesności — ustroju w którym radość życia nie będzie egoistycznym monopolem zamkniętych w sobie grup społecznych.

*
**

Biskup Ancel tak kończy swą rozprawę:

„Chciałbym zwrócić uwagę wszystkich na jeden fakt i na jedno prawo.

Faktem JEST NĘDZA ŚWIATA ROBOTNICZEGO.

Prawem JEST OTRZYMYWANIE ZA SWĄ PRACĘ PŁACY DAJĄCEJ ŚRODKI DO ŻYCIA.

Nędza robotnicza jest dziś znacznie większa, niż sądzi się zwykle.

Nie należy zapominać o nędzy starców, ani o nędzy małych rentierów. Są też matki licznych rodzin, które upadają pod ciężarem prac codziennych i nie mogą znaleść pomocy. Jest wiele rodzajów nędzy, ale jest w szczególności nędza robotnicza...

Gdy chrześcijanin chce sądzić dzieje współczesne — nie ma nigdy prawa zapomnieć: fakt istnienia nędzy, prawo do płacy dającej środki do życia".

Wojciech Kętrzyński

Kosym okiem

De libris oratio brevis

Kwestia pożyczania książek należy do spraw nieco drażliwych. Bo jakże tu odpowiedzieć znajomemu, który zobaczywszy w naszej bibliotece „Listy Perskie" Monteskjusza, albo „Dzieje Anglii" Murois, powiada:

— No, popatrz! To, ty to masz? Nic nie mówiłeś. Musisz mi pożyczyć.

I rzeczywiście, nieszczęsny właściciel książek m u s i pożyczyć, aby nie narazić się na opinię nieużytka, gbura i człowieka źle wychowanego. Jest rzeczą prawie-że pewną, iż pomimo zapisania adresu i nazwiska osoby pożyczającej, książka powędruje dalej w świat.

— Dzieje Anglii! — zawoła ktoś po raz wtóry, zaglądając do biblioteki naszego znajomego. — Musisz mi pożyczyć.

— Ależ, to nie moje — będzie wypierał się nowy posiadacz.

— Nie szkodzi. M n i e możesz pożyczyć. J a napewno ją zwrócę. Nie jestem taki jak inni. Obłożę ją na miejscu w papier, żeby się nie zniszczyła.

Tak rozpoczyna się wędrówka książki i tak pustoszeją biblioteki miłośników książki i niewolników konwenansu. Są osoby sprytniejsze, które pożyczają od kogos, ale nie wypożyczają książek same. W ten sposób dorabiają się całkiem ładnych księgozbiorów. Jednakże spryt ten jest niczym innym jak tylko bibliofilskim korsarstwem.

Przed wojną, a zapewne i teraz istnieje międzynarodowe towarzystwo miłośników książki w Szwajcarii. Członek tego towarzystwa, który niestety musi opłacać składki we frankach szwajcarskich, otrzymuje estetyczną tabliczkę z napisem w pięciu językach „Książek swoich nie wypożyczam". Zapisujący się musi wypełnić deklarację, w której zobowiązuje się uroczystym słowem honoru, że nie wypożyczy nikomu książki poza dom i w wypadku, gdyby ktoś dowiódł, że członek nie dotrzymał danego przyrzeczenia, zostaje on dożywotnio skreślony z listy towarzystwa i nazwisko jego opublikowane zostaje na czarnej liście w specjalnym biuletynie, rozsyłanym do wszystkich członków stowarzyszenia.

Nie mam zamiaru twierdzić, że obyczaje tego towarzystwa nie są drakońskie, ale są zarazem głęboko wychowawcze i w kraju, gdzie panuje tak kolosalna niemoralność człowieka w stosunku do pożyczonej książki, jak u nas, przydałoby się wprowadzenie analogicznych zwyczajów.

Zważmy bowiem na fakt tego rodzaju, że wypożyczanie książki z prywatnej biblioteki jest tylko dowodem pewnego lenistwa, wygodnictwa i niezaradności. Bo nawet jeśli nie stać nas na kupno książki, to przecież otworem stoi przed nami cała wielka sieć bibliotek w danym mieście, czy okręgu. Jeżeli zaś biblioteki danej książki nie posiadają, jeśli jest ona unikatem, to zasługuje na taki szacunek i taką ostrożność w postępowaniu z nią, że właściciel w żadnym wypadku nie powinien jej wypożyczać. Ma natomiast nieomal obowiązek udostępnić ją na terenie własnego domu. Książka, która jest unikatem wymaga takiej niepisanej ustawy ochronnej.

Wydaje mi się, że nie trudno jest wytłumaczyć fakt, iż niechęć do wypożyczania książek wypływa nie z niegrzeczności, braku wychowania, czy sobkostwa, ale z szacunku do książki i księgozbioru jako nienaruszalnej całości. Kto nie rozumie, do kogo nie trafia rozumowanie bibliofila, niech je chociaż potrafi uszanować, bo moim zdaniem, nie ma w Polsce człowieka, który nie potrafi zapomnieć o oddaniu wypożyczonego tomu.

Druga sprawa, dotycząca książek, to samo podejście czytelnika do książki. Sposób postępowania człowieka z książką jest takim samym sprawdzianem stopnia kultury, jak sposób postępowania z dzieckiem, zwierzęciem, czy ustosunkowaniem się do dzieł sztuki.

W Polsce robi się obecnie bardzo wiele, jeśli chodzi o sprawę upowszechnienia książki. Start takiej instytucji jak KUK wróży na tym polu najlepsze nadzieje. Tylko żeby KUK nie zasypiał gruszek w popiele, aby pracował z niesłabnącą energią i aby... propagował prócz samej książki, coś jeszcze, co możnaby nazwać kulturą czytelniczą, nie ze względu na dobór lektury, ale na ustosunkowanie się do samej książki jako takiej.

O brakach w tej dziedzinie możemy przekonać się w każdej, pierwszej lepszej czytelni. Jak wyglądają książki czytane, wstyd wspomnieć. Służą one za bibułę do atramentu, za podstawki pod rondle, za przyciski, za linijki do kreślenia i za papier do rysunków. Zamiast używania za kładek praktykuje się zawijanie rogów stronic. Każda książka, bez względu na treść staje się od razu podręcznikiem daktyloskopii. Nie wiele bowiem osób uznaje za stosowne umyć ręce przed rozpoczęciem czytania książki. Nic też dziwnego, że bardziej poczytne dzieła stają się tak tłuste, że można śmiało gotować zupę na „Najeźdźcach" rosołek na „Mieście niepokonanym" i polewkę na „Bolesławie Chrobrym". Każda stronica takiej książki staje się naturalnym bonem tłuszczowym.

Ludzie! Obywatele! Abonament czytelniany upoważnia do czytania książki, a nie do jej zasmarowywania i stawiania na niej rondelków. Przy czym czytanie to powinno odbywać się przy pomocy oczu a nie przy pomocy brudnego paluch., którym wodzi się po stronicach!

Książka jest naszym przyjacielem, naszym nauczycielem, naszym okiem na świat. Szanujmy ją i troszczmy się o jej piękno i jej estetykę. Czyniąc zadość tym wymogom podnosimy kulturę narodową.

Żuk.

Eugeniusz Paukszta

ZIEMIA ZA WARSZAWSKĄ MIEDZĄ (V)

MIĘDZY ZABOBONEM A WIARĄ

— „Nie zdziwiłbym się doprawdy, gdyby tu gdzieś po lasach odżył kult Perkunasa czy Swarożyca. Szczególnie możliwe były takie rzeczy pozornie nieprawdopodobne w latach 1945 — 46. gdy Mazury zalała po prostu fala sekciarstwa Przecie na wet i Mormoni usiłowali usadowić się tutaj ze swymi wielożeńskimi teoriami. A i rzeczywiście, w latach tamtych dawało się słyszeć o tworzeniu się jakichś całkowicie nowych kultów, będących pomieszaniem katolicyzmu z ewangelicyzmem, judaizmu z jakimś nowoczesnym pogaństwem... Te historie skończyły się jednak szybko. Gorzej jest z sekciarstwem mającym podporę w swych zagranicznych ośrodkach dyspozycyjnych, podporę przede wszystkim finansową“.

Opinia pozornie nonsensowna. Wygłaszał ją w ramach dłuższej rozmowy jeden z pastorów kościoła ewangelicko-augsburskiego na Mazurach, gdyśmy wspólnie próbowali analizować istotą ewolucji zaszłych od czasu wojny w tzw. ruchu gromadkarskim. Opinie te jednak, acz niewątpliwie cokolwiek przejaskrawione, mają realną podstawę, a przynajmniej miały ją przed paru laty.

Swego rodzaju naturalnym zjawiskiem jest fakt rozwielmożniania się sekciarstwa i tworzenia nowych koncepcji religijnych w okresach politycznych przełomów, a przy niskim jednocześnie stopniu rozwoju kulturalnego ludności danego kraju. Tak rzecz się miała na Mazurach. Kraj, kulturalnie celowo zaniedbywany przez Niemców, pozostawiany w stanie jak najgłębszego zacofania, kraj mimo wszelkich fikcji plebiscytowych zawsze dla nich niepewny pod względem politycznym, kraj, gdzie zagadnienia wiary wiązały się szczególnie blisko z zagadnieniami narodowościowymi, gdzie oficjalnie istniejące kościoły wykorzystywało się dla akcji germanizacyjnej i gdzie w obronie swojej osobowości ludność musiała na własną rękę szukać, choćby najbardziej prymitywnych, środków obrony — musiał w obliczu całkowicie nowej sytuacji znaleźć się na swego rodzaju rozdrożu moralnym i pojęciowym. Rozkład państwowego organizmu niemieckiego, w który kazano wierzyć jako w coś wiecznego, błyskawiczna zmiana sytuacji politycznej, nowa państwowość, odzywanie się przygłuszonego instynktu narodowego polskiego, przy tym jednak obcość psychiczna w stosunku do części tych, którzy tą polskość reprezentują, nieświadomość własnej pozycji, chaos w łonie Kościołów, związany z przejmowaniem ich przez duchowieństwo polskie, wszystko to poprzedzone przewaleniem się olbrzymiej nawałnicy wojennej — rzeczywiście stworzyło warunki odpowiednie dla rozwielmożniania się najnieprawdobodobniejszych wierzeń, urojeń i koncepcji, choćby nie raz utopijnych i najbardziej naiwnych.

Rejon Mikołajki — Pisz należy do tych, gdzie istnieją dziś największe skupiska ludności rodzimego pochodzenia. Prawdziwa to jeszcze po dziś dzień ziemia nieznana. W roku 1947 miałem tam dziwne spotkanie. Jakiś czas przebywałem w bliskiej styczności z rodziną mazurskich rybaków. Świadomość narodowa była wśród nich stosunkowo silna. W działalności polskiej w okresie niemieckim udziału aktywnego jednak nie brali. W rozmowach na łodzi, przy wyczekiwaniu na rybę, gadało się o tym i owym. Okazało się, że mój znajomy jest gromadkarzem. Wiele się jednak od niego o istocie samego ruchu nie dowiedziałem. Entuzjazmował się jeno swym kaznodzieją, komentatorem Pisma Świętego, na zebraniach gromadkarskich. Któregoś razu w domu rybaka zastałem właśnie owego kaznodzieję. Był to chłop młody jeszcze, powagi dodawała mu potężna broda. Intelektualnie nie stał wysoko, na ile przynajmniej z krótkiej rozmowy mogłem się zorientować. Wysoki był natomiast stopień jego fanatyzmu. Surowość reguł moralnych, przezeń głoszonych, dałaby się porównać do jakichś wzorów średniowiecznych. Rozmowa cała naszpikowana była wersetami z Pisma. W mówieniu o gromadkarstwie był bardzo wstrzemięźliwy. Próba uzyskania zaproszenia na zebranie ruchu nie powiodła mi się w zupełności. Co było zastanawiające, to olbrzymi szacunek, jakim darzyła go zarówno rodzina gospodarzy, jak i inni mieszkańcy wioski. Rzadko gdzie którykolwiek z kapłanów cieszy się podobnym mirem wśród swoich parafian...

W parę dni potem wyjechałem. Gdy później, przy najbliższej bytności na Mazurach, zawitałem znów w te strony, nie zastałem rodziny znajomego rybaka. Przeniósł się gdzieś do rodziny matki pod Nibork. Kaznodziei gromadkarskiego nie udało mi się spotkać, a zapytywani na temat ruchu inni mieszkańcy wioski w ogóle nie podejmowali tematu.

Zagadnienia wyznaniowe na Mazurach są niezmiernie skomplikowane i trudne do sprecyzowania. Dla uwypuklenia istoty problemu warto choćby najogólniej sprecyzować zagadnienie w zarysie historycznym.

Wyłączam z rozważań tych Warmię, która, będąc w 90 proc. katolicką i stojąc na daleko wyższym stopniu rozwoju kulturalnego, nie zna problemów religijnych, tak typowych dla Ziemi Mazurskiej.

Osadnictwo polskie na tereny mazurskie, datujące się jeszcze od tysiąclecia, a od XIII wieku przybierające na nasileniu, jest w całej swej masie katolickie. W większości swej pozostaje ono jednak uzależnione od panów niemieckich, którzy w okresie reformacji gremialnie przechodzą na ewangelicyzm. Zasada cuius regio, eius religio, znajduje tu pełne zastosowanie. Poddani pańszczyźniani zmuszeni zostają do przyjęcia ewangelicyzmu. Sytuacja nie zmienia się już po ostatnie dni i około 90 proc. Mazurów jest wyznania ewangelickiego. Fakt ten pociąga za sobą poważne konsekwencje narodowościowe, od momentu, gdy Kościół ewangelicki, tak zresztą jak i katolicki, zostaje użyty przez Niemców dla celów germanizacyjnych.

Zjawisko znamienne, że wpływy katolicyzmu pozostają jednak i nadal bliskie psychice ludu mazurskiego. Przejawiają się one w zachowanych po dziś dzień pewnych obrządków katolickich, jak np. przepięknej jutrzni, w kulcie do Matki Boskiej, który ściągał i ściąga tłumy mazurskie na odpusty do Świętej Lipki około Reszla.

Dopóki nacisk germanizacyjny był zjawiskiem rzadkim i nie miał charakteru masowego, nie przejawiały się w ewangelicyzmie Mazurów jakieś głębsze tendencje separatystyczne, nie istniały próby wyłamywania się z ram kościoła oficjalnego. Przełomowym momentem jest dopiero rok 1830. Z rokiem tym zmienia się język nabożeństw na obowiązujący niemiecki, wbrew językowi większości parafian. Nacisk ten rodzi samoobronę.

Wspomniane uprzednio **gromadkarstwo** jest jaskrawym i najbardziej znamiennym przykładem takiej samoobrony. Data jego powstania, to najprawdopodobniej lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. Zwolna zaczyna robić ono poważny wyłom w kościele unijnym w Prusiech, co stawia ten ostatni wobec alternatywy albo utraty wpływu na poważną ilość Mazurów oraz Litwinów (pruskich; element w ruchu gromadkarskim nie słychanie aktywny), albo szukać kompromisu przez uznanie gromadkarstwa i połączenie go z sobą. Druga koncepcja przeważa i gromadkarstwo włączone zostaje w ramy kościoła unijnego, jako odmiana jednego z częstych w kościołach protestanckich ruchów „pogłębienia wiary“. Gromadkarstwo przejmuje formę organizacyjną „towarzystwa“ i na ogół jest zgodne z oficjalnymi wskazaniami kościoła, zawsze jednak wyżej od zarządzeń władz kościelnych stawia wiarę wewnętrzną i nakaz sumienia.

Czołową postacią, niestety, nie znaną nam jeszcze z żadnego opracowania naukowego, jest Litwin pruski. Kukat, nadający gromadkarstwu formę organizacyjną pod nazwą „Ostpreussischer Gebetsverein“, z centralą w Więcborku.

Członkowie stowarzyszenia, coraz zyskującego na popularności z powodów, o których dalej, gromadzili się (stąd nazwa potoczna) na wspólne modlitwy i komentowanie Pisma Św. w domach prywatnych. Najwybitniejsi i najbardziej przejęci ideą towarzystwa obejmowali funkcje kaznodziejów.

Dlaczego ruchowi gromadkarskiemu poświęca się tu aż tyle uwagi? Znaczenie jego polega na tym, że z jednej strony zaznaczało się tam duże przywiązanie do dawnych tradycji katolickich i ich kultywowania, z drugiej, że językiem używanym na zebraniach był wśród Mazurów język polski. Grupa polska gromadkarzy miała swój własny zarząd, „Radę Wykonawczą Społeczności Chrześcijańskiej“ w Szczytnie. Grupa ta nie łączyła się wprawdzie z polskim ruchem mniejszościowym, stawiając sobie zadania tylko wyznaniowe, niemniej przez kultywowanie języka oddała wielką przysługę sprawie polskiej.

Jak we wszystkich tego typu ruchach religijnych, i w gromadkarstwie zarysowały się wkrótce podziały wewnętrzne. Doprowadziły one do utworzenia dwu niezależnych od siebie, a nawet zwalczających się centrali gromadkarskich, skupiających się przy pismach: „Pakajus Paslas“ („Friedensbote“), wydawanym we Frydlądzie i „Kukats Pakajus Paslas“, wydawanym z Lecu (obecnie Giżycko). Polacy — gromadkarze solidaryzowali się z grupą kontynuującą tradycje Kukata, wydając w języku polskim „Głos Ewangelijny“, redagowany przez Reinholda Barcza, aresztowanego przez hitlerowców wkrótce po wybuchu wojny i po dłuższym pobycie w więzieniu ściętego w 1943 r. w Moabicie w Berlinie.

„Głos Ewangelijny“ wychodził w Szczytnie w nakładzie 2 tys. egzemplarzy (największy nakład spośród pism katolickich, wydawanych na Mazurach). W Szczytnie też mieścił się zarząd polskich gromadkarzy p.n. „Rada Wykonawcza Społeczności Chrześcijańskiej“. Cechą charakterystyczną ruchu było niewypowiadanie się w żadnych sprawach politycznych, ani narodowościowych, a jedynie tylko kultywowanie życia religijnego. Mimo to dla sprawy polskiej gromadkarze oddali ogromne usługi, od ruchów wyznaniowych ewangelickich bowiem odróżniały ich dwie zasadnicze cechy: a) kultywowanie niektórych tradycji katolickich, b) pogłębianie znajomości języka polskiego przez czytanie Pisma Św. i kancjonałów polskich.

Dla pełniejszego obrazu sytuacji należy wspomnieć i o drugiej jeszcze polskiej grupie gromadkarskiej, która przy piśmie mniejszości polskiej „Mazur“, wydawała dodatek pt.: „Twierdza Ewangelijna“. Tutaj dawały się zauważyć wyraźniejsze akcenty narodowe polskie, skutkiem prawdopodobnie obcowania z aktywnymi działaczami mniejszościowymi. Grupa ta jednak ani w części nie dorównywała znaczeniem środowisku skupiającemu się przy „Głosie Ewangelijnym“.

Gromadkarstwo pozostało silne po dziś dzień i w ramach sekty metodystów nadal rozwija dosyć ożywioną działalność. I tutaj natykamy się na swego rodzaju tragiczne piętno. O ile przed wojną, pod uciskiem germanizacyjnym, gromadkarstwo znacznie przyczyniało się do zachowania języka polskiego, o tyle dzisiaj sytuacja przedstawia się odwrotnie. Gromadkarstwo staje się dziś niebezpiecznym kultywatorem języka niemieckiego wśród rzesz swych wyznawców.

Problem to złożony, delikatny, wymagający znajomości sytuacji i sprawiedliwej oceny. Postawmy sprawę jasno. Trudno byłoby przypuszczać, aby to kultywowanie niemczyzny miało jakieś tło polityczne. Może najwyżej w rzadkich pojedyńczych wypadkach. Jak i dawniej, gromadkarze poza problematykę religijną nie wykraczają. Używanie języka niemieckiego na wspólnych zebraniach modlitewnych, posługiwanie się tym językiem przez kaznodziejów spowodowane jest nie jakimiś sympatiami proniemieckimi, ale po prostu... brakiem kancjonałów i modlitewników ewangelickich w języku polskim. Weźmy przykładowo powiat ostródzki. Na liczbę około 10 kaznodziejów gromadkarskich, sześciu posługuje się językiem niemieckim, mimo, że polski nie jest im obcy. Ale to tylko czterech na dziesięciu posiada odpowiednie druki polskie. Pamiętajmy, że kancjonały i modlitewniki ewangelickie w języku polskim drukowane były wyłącznie na Śląsku Cieszyńskim. W czasie wojny zniszczone zostały w tym stopniu, że z trudem zaledwie mogą zaspokoić zapotrzebowanie tamtejszej ludności. Dla ziemi mazurskiej nie ma już nic. I tak, z grubsza biorąc, około 100 tysięcy ludności polskiej, formalnie wyznania ewangelickiego, w województwie olsztyńskim i części białostockiego (Ełk, Gołdap, Olecko), zmuszonych jest poniekąd dla kultywowania swej wiary, posługiwać się językiem niemieckim, o wydawnictwa w tym języku nie jest bowiem trudno.

Przy tym pamiętajmy o spostrzeżeniach z poprzednich artykułów niniejszego cyklu. Nie ma w tej przymusowej niemczyźnie tendencji politycznej. Tak. Ale jednocześnie istnieją pewne dosyć silne urazy, wywołane krzywdą, jaka się działa autochtonom w roku 1945 — 46. Urazy te mogą, przy podatnym gruncie, stworzonym przez operowanie językiem niemieckim, stanowić kiedyś rzeczywiście pomost dla wrogiego działania politycznego. Dlatego trzeba pomyśleć o zaradzeniu złemu. Radą jest tutaj wydanie kancjonału i paru modlitewników ewangelickich w języku polskim. Z pracą tą nie należy więcej zwlekać. Gromadkarstwo bowiem, włączone ostatnio w ramy działalności **metodystów, jest** silne wśród ludności mazurskiej, jak silna jest zresztą ta sekta.

Trzeba bowiem pamiętać, jakim prześladowaniom w okresie okupacji podlegał w Polsce **kościół augsbursko - ewangelicki;** większość pastorów — Polaków zginęła w więzieniach i obozach. Odnowienie tych rezerw, to kwestia dłuższego czasu, kościół bowiem augsburski, jest o wiele bardziej ortodyksyjny, niż mocno liberalni metodyści. Pastorzy pierwszego muszą posiadać wyższe wykształcenie, mieć ukończone studia teologiczne. Stąd niemożliwym było dla kościoła augsburskiego, przejęcie pod opiekę gromadkarzy, którzy jako warunek stawiali m.in. i utrzymanie praw ich kaznodziei, ludzi często całkowicie bez wykształcenia.

Kościół augsburski przed wojną miał czysto polski charakter, między innymi na Śląsku Cieszyńskim. Na Mazurach natomiast był on zgermanizowany, jak zresztą i kościół katolicki. Wszyscy pastorzy niemieccy opuścili po wojnie Polskę. Liczba znów polskich pastorów, zdziesiątkowanych przez wojnę, była tak szczupła, że nie mogła objąć swoim zasięgiem całego nowego terenu. Stąd z jednej strony rozszerzenie się wpływów metodystów; z drugiej, uszczuplenie w zakresie posiadania materialnego przez Kościół Katolicki. Nie można tu w niczym winić katolicyzmu. Rzesze polskiej ludności osiedleńczej, katolickie, potrzebowały swych kościołów i księży. Większość świątyń ewangelickich stała wtedy i prawdopodobnie stałaby do dziś pusta. Katolicyzm przejął więc te świątynie. Rzecz naturalna i zrozumiała. Ale wśród pewnych mniejszych skupisk mazurskich wzbudza to znów żal. Spotkałem się z takim oto narzekaniem:

— Mieliśmy piękny kościół, ale zabrali go katolicy. Raz na miesiąc, jak przyjeżdża nasz pastor, to musi w chacie nabożeństwo odprawiać...

Trudno byłoby wytłumaczyć skarżącemu się, że pastor z dosyć odległego miasteczka w żadnym wypadku i tak nie mógłby częściej niż raz na miesiąc przyjechać, obsługuje bowiem kilkakroć za wielki obszar w stosunku do swoich możliwości. I, że w tej właśnie miejscowości wiernych ewangelickiego wyznania pozostało po wysiedleniu Niemców, tylu tylko, że i chata z powodzeniem zmieści ich wszystkich. Katolików zaś jest kilka tysięcy.

Trzeba zresztą stwierdzić tolerancyjne i sprawiedliwe stanowisko Kościoła Katolickiego w tych tak złożonych i drażliwych problemach. W kilku miejscowościach, gdzie liczba ewangelików była poważna, Kościół Katolicki zwrócił dobrowolnie świątynie poprzednim ich właścicielom.

Stwierdźmy jeszcze jedno. — Zadrażnień między kościołem katolickim, a ewangelickim nie ma. Przypadkowe skrzyżowanie „interesów“ w pierwszym okresie po wyzwoleniu zostało dawno obustronnie taktownie i szybko zażegnane.

Problem kościołów i sekt ewangelickich łącznie z zagadnieniami gromadkarstwa, jest więc łatwy do rozwiązania. Chodzi o druki kancjonałów, modlitewniki itp. w języku polskim. To od razu utnie rozszerzanie się niemczyzny w ramach kultów religijnych.

Inaczej ten sam problem przedstawia się w działalności innych sekt. Tych, jak wspomniałem, na Mazurach jest wyjątkowe mnóstwo. Ze słowem niemieckim idzie częstokroć w teren sekta tzw. **Zielonoświątkow -**

(Dokończenie na str. 10)

Bruce Marshall **Tłumaczył I. J. Szczepański**

„CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ"*)

Ksiądz Smith miał sześćdziesiąt jeden lat, kiedy w 1929 roku biskup mianował go kanonikiem prokatedry, przywrócił mu urząd proboszcza kościoła Najświętszego Imienia i przeniósł kanonika Bonnyboat do parafii św. Munga w Strathtochter. Prałat O'Duffy był uradowany i powiedział, że to dowodzi, iż kto czeka, ten się doczeka, i że mniszki w klasztorze będą krzyczeć z uciechy jak tłum widzów na meczu footbalowym, kiedy zobaczą go paradującego do kaplicy w purpurowej pelerynce. W dniu świętych męczenników: Marcelina, Piotra i Erazma, Tomasz Edmund Smith śpiewał swą pierwszą sumę w kapitule prokatedry, z kanonikiem Muldoonem w roli diakona, kanonikiem Bonnyboat jako subdiakonem i samym prałatem O'Duffym w roli mistrza ceremonii.

Ponieważ był to dzień powszedni, wiernych było niewielu i tylko lady Ippecacuanha w pierwszym rzędzie ławek wybijała się wśród gromadki. Kanonicy wszakże zebrali się wszyscy i tkwili w swych stallach jak fajki na stojaku, kanonik Smith zaś był bardzo zdenerwowany, wiedział bowiem, że jego głos, nigdy nie odznaczający się pięknością, jest teraz stary i skrzypiący. Szczególnie Kolekta napawała go przerażeniem, toteż postanowił śpiewać ją cicho, by jego błędy mniej rzucały się w oczy. Jednakże zanim wyśpiewał pierwszy wiersz, prałat O'Duffy stojący za nim, szepnął mu:

— Śpiewaj głośno. Tam stare baby w tyle nie mogą cię dosłyszeć.

Po mszy odbyło się zebranie kapituły na probostwie, ponieważ nie było specjalnego pomieszczenia na takie okazje. Wyłuskani ze swych szat i sukien następcy św. Andrzeja, św. Kentigerna, św. Blaana, św. Drostana i św. Kolumbana siedzieli zgromadzeni w mrocznej jadalni, w kanciastych czarnych butach i w alpagowych kurtkach opadających im do połowy ud. Krzysztof kanonik Bonnyboat od św. Munga w Strathtochter, Alojzy Patryk Franciszek kanonik Muldoon od Serca Jezusowego w Drumfillans, Piotr kanonik Dobbie od Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych w Abergirnie, James kanonik Sellar z Pięciu Ran w Kilngavie, Franciszek Ksawery kanonik Poustie od Niepokalanego Poczęcia w Lochmuchtyhead, Tomasz Edmund kanonik Smith z kościoła Najświętszego Imienia, wszyscy zebrali się tutaj, mężczyźni o starych twarzach i młodych oczach, rzeźnicy, piekarze i brązownicy wysublimowani na księży. Przez otwarte okna wpadał skrzek mew i radosne okrzyki dzieci, bawiących się na brzegu czerwcowego morza.

Gdy prałat O'Duffy otwarł posiedzenie modlitwą, kanonik Poustie powstał i zapytał członków kapituły jaki, ich zdaniem, jest najlepszy sposób postępowania z zakochanymi parami, które znajduje się flirtujące w cieniu odrzwi kościelnych. Powiedział, że on sam ma zwyczaj obchodzić swój kościół z latarką każdego wieczora po błogosławieństwie i wyganiać kochanków spod szkarp i portyku, lecz niestety nie wydaje się to bardzo skuteczne, ponieważ te bezwstydne istoty przechodzą po prostu na drugą stronę jezdni do sąsiedniego kościoła baptystów i tam uprawiają nadal swe bezecne praktyki. Kanonik Dobbie powiedział, że szczerze współczuje z kanonikiem Poustie, ponieważ w bramie kościoła Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych w Abergirnie też zawsze pełno jest zakochanych, jednakże doszedł on do wniosku, że najlepiej zostawiać ich tam, gdzie są;

jest bowiem zupełnie tak samo możliwe, iż łaska Przenajświętszego Sakramentu może tknąć ich dusze, jak i to, że namiętność ich uścisków może być obrazą dla tegoż Przenajświętszego Sakramentu.

Na to powstał prałat O'Duffy i oświadczył, że jego zdaniem odpowiedź dana kanonikowi Poustie przez kanonika Dobbie jest bardzo piękna i pocieszająca, i że żaden z nich nie powinien zapominać ani na chwilę, iż drogi Boga są tajemnicze, a Przenajświętszy Sakrament jest w istocie bardzo cudownym Sakramentem, który potrafi strzelać przeróżnymi łaskami nawet przez kamień i cement w ludzi nie podejrzewających obecności Samego Jezusa Chrystusa, choćby w promieniu miliona mil. Może jednak jego stary przyjaciel kanonik, Smith, którego wszyscy z taką radością powitali w swym gronie, zechciałby powiedzieć kilka słów na ten temat.

— Przewielebni i wielce czcigodni księża — zaczął kanonik Smith. — Dziękuję prałatowi O'Duffy'emu za tak miłe słowa o mnie. Sądzę, że kanonik Dobbie ma słuszność proponując, abyśmy pozostawili kochanków Panu Bogu, ponieważ sakramenty mają wielką moc w tych sprawach i ponieważ nauka Kościoła o nich jest dobrze znana. W istocie nawet wśród heretyków i schizmatyków nauka Kościoła o moralności seksualnej jest tak dobrze znana, iż powszechnie przypuszcza się, że słowo grzech oznacza niemal wyłącznie poważniejsze wykroczenia cielesne, a zaś brak miłosierdzia jest jedynie błahym grzeszkiem, który Pan nasz wybacza z łatwością. Proszę nie rozumieć mnie źle. Nie staram się w żaden sposób bagatelizować ani usprawiedliwiać wybryków, na które uskarżają się prałat O'Duffy i kanonik Poustie. Jestem najzupełniej świadom, jak ciężką obrazę Pana stanowi takie zachowanie i rozumiem świetnie, że żaden rozpustnik ani cudzołóżca nie może łatwo pojąć duchowych prawd naszej świętej wiary.

Lecz dla katolików istnieją sakramenty, by ich ochłodzić, zaś nawet niekatolikom, jak już powiedziałem, nauka nasza dobrze jest znana, toteż przypuszczam, iż jakiś rodzaj specjalnej kampanii byłby nadgorliwym przedsięwzięciem.

Istnieją wszakże inne dziedziny, na które, jak mi się zdaje, my, księża, winniśmy z korzyścią dla nas samych zwrócić uwagę. Pewien francuski agnostyk powiedział: „Si Dieu a parle, pourquoi le monde n'est-il pas convaincu?". Bóg, jak wiemy, przemówił i, jak również wiemy, świat nie jest przekonany. Wiemy także, iż to, że świat nie jest przekonany, nie może być winą Kościoła, ponieważ Kościół kierowany jest przez Ducha Świętego oraz stanowi nieomylny skarbiec tych prawd, które Bóg Wszechmogący wybrał, by je nam objawić; jednakże może to być wina ludzi Kościoła, którzy podkreślili niektóre z tych prawd kosztem innych, pomijanych nieomal milczeniem.

Jedną z przyczyn tego, iż świat nie został przekonany, jest moim zdaniem fakt, że ludzie uważają, iż Kościół, który identyfikują z klerem, uczy moralności o małym, nie zaś o dużym zakresie. Słyszą, jak z kazalnic naszych potępia się cudzołożców, złodziei i morderców, nie słyszą natomiast, byśmy potępiali pracodawców-wyzyskiwaczy, akcjonariuszy przedsiębiorstw zbrojeniowych, ludzi ciągnących zyski z filmów gangsterskich lub polityków godzących się na okrucieństwa w dalekich krajach. Twierdzą, że w oczach Kościoła akcjonariusz przedsiębiorstwa żerującego na nędzy chińskich kulisów jest dobrym chrześcijaninem, dopóki nie morduje przyjaciela, który pokonał go w golfie, lub dopóki nie żyje ze swoją pokojówką. My, którzy jesteśmy księżmi, wiemy, iż nie jest to nauka Kościoła, ale czyż możemy powiedzieć uczciwie, że zadaliśmy sobie trud, by wyjaśnić ten fakt ludziom dobrej woli? Wiadomo bowiem, że wielu ludzi dobrej woli pozostaje poza Kościołem. Nie jesteże naszą rzeczą zapytać samych siebie, czy przez potępianie tylko tych grzechów, których piętnowanie nie wymaga wiele odwagi, nie przeszkodziliśmy owym ludziom znaleźć drogę ku owczarni Chrystusowej?

Przewielebni i wielce czcigodni księża, istnieje dziś na świecie więcej niż trzysta milionów katolików, należących przeważnie do cywilizowanych narodów Europy. Jak potężnie moglibyśmy zaważyć na szali dobra, gdyby każdy spośród tych trzystu milionów katolików był gorącym naśladowcą Chrystusa, gotowym stawiać zasady swej świętej religii przed interesem własnym. Cóż zamiast tego widzimy? Widzimy, że heretycy i schizmatycy, a nawet ateiści chlubią się praktykowaniem doskonalszego mi-

Przewielebni i wielce czcigodni księża, mówię z całą powagą. Kościół Boży nie może ponieść porażki, ale duchowni mogą opóźnić i opóźnią jego triumf, jeżeli nie przywołają wiernych z powrotem na drogę surowej i bezkompromisowej religijności. Musimy być czyści, tak, ponieważ oko rozpustnika nie może jasno dostrzec Boga. Musimy być także pokorni, ponieważ cnota nasza jest tak krucha. Ale nade wszystko musimy być odważni i głośno nawoływać ludzi, by uprawiali cnoty jeszcze bardziej niepopularne niż czystość i pokora. Musimy im powiedzieć, że mnóstwo rzeczy, które na pozór nie mają nic wspólnego z chrześcijaństwem, w istocie mają z chrześcijaństwem wszystko wspólne. Musimy przekonać ich, że nowoczesna reklama jest grzechem zarówno przeciwko Bogu, jak i przeciw dobremu smakowi, jako iż odwodzi zmysły od podziwiania Boga i uczy ludzi kochać rzeczy liche, wulgarne i przemijające. Musimy uczyć ludzi, że brzydkie zwierzęta mogą cierpieć równie dotkliwie jak ładne, że owad może doświadczać takich samych dotkliwych bólów jak hipopotam, że milion ludzi, którzy giną w bitwie, to milion pojedynczych osobnych samotności, każda ze swymi gwiazdami, drzewami i lasami. Musimy uczyć ludzi, że zło nie jest dobrem przez to, iż uprawia je zbiorowo cała społeczność. Musimy obstawać przy tym, by tak zwane nieużyteczne przedmioty wykładane były w naszych szkołach, bowiem to nie poeci są sprawcami wojen. Krótko mówiąc, przewielebni i wielce czcigodni księża, musimy starać się uratować świat od nowej wojny, póki jeszcze czas, a jest jeden tylko sposób uczynienia tego: przez głoszenie pełnej, nieustraszonej nauki Chrystusowej, przez uczenie zarówno religii Jezusa, jak i religii o Jezusie, przez obwieszczanie, że Bóg nie tylko chce, aby ludzie wierzyli, iż jest On prawdziwie obecny w Sakramencie Ołtarza, ale także, by byli sprawiedliwi i dobrzy dla siebie wzajem. Gdy tak będziemy postępować, szata Oblubienicy Chrystusowej świecić będzie widoczną i jasną bielą dla wszystkich, ponieważ wiarę naszą usprawiedliwią nasze czyny; bowiem doktryna bez miłosierdzia jest niemal równie niebezpieczna jak miłosierdzie bez doktryny.

Siadając ksiądz Smith spostrzegł natychmiast, że nie zrozumieli. Zauważył to po sposobie, w jaki unikali jego wzroku, odwracając się i rzucając sobie ukradkowe spojrzenia, gdy myśleli, że na nich nie patrzy. Nawet prałat O'Duffy i kanonik Bonnyboat wydawali się zażenowani i zmartwieni. A przecież wszyscy oni mieli w młodości tę wizję, szli za nią i dla niej zostali księżmi. Wiedzieli wtedy, że bezpieczeństwo i zamożność są lichymi celami, a jedyną rzeczą, która się liczy, jest osiągnięcie świętości. I chociaż żadna z tych zmęczonych twarzy nie była twarzą świętego, musieli oni wiedzieć teraz jeszcze, że obowiązkiem każdego człowieka jest podjęcie próby stania się świętym, bowiem byli księżmi, pokornymi ludźmi pilnującymi samotnych posterunków. Dlaczegoż więc nie zrozumieli, gdy wezwał ich, by raz jeszcze spojrzeli na miasto Pana, którego blask błysnąć musiał każdemu z nich w dniu przyjmowania święceń? Czy to dlatego, że pobożność ich stała się nawykiem, czy też z winy złego wyboru jego własnych słów? Wciąż jeszcze zastanawiał się nad tym, gdy kanonik Sellar powstał ze swego miejsca.

— Czy w czasie nabożeństwa pontyfikalnego w Wielką Sobotę biskup powinien zdjąć mitrę, gdy leży krzyżem przed ołtarzem podczas litanii do Wszystkich Świętych? — zapytał.

*) URYWEK POWYŻSZY JEST FARGMENTEM NOWOWYDANEJ POWIEŚCI. PRZEZ SPÓŁ. WYD „PAX" — WARSZAWA.

POPIERAJCIE
Katolicki Uniwersytet Lubelski

Thomas Stearns Eliot

CZWARTY

Tragedia T. S. Eliot „Morderstwo w katedrze" — z której poniżej podajemy fragment — została nagrodzona w roku zeszłym nagrodą Nobla. Eliot, poeta amerykański, doskonale obeznany z klasyczną literaturą europejską, po przybyciu w 1918 r. do Anglii — jako oficer marynarki amerykańskiej — poczuł, że tu dopiero znajduje się w kręgu cywilizacji, do której należał. Odtąd Anglia stała się mu domem i ojczyzną. Nie wrócił do Ameryki. Jak powiada o nim znany krytyk H. Fluchere: „Oddalił się od tragedii amerykańskiej, którą cechują dysproporcje i nadmierne kontrasty — niezależnie od tego czy wynikają one z dumy czy z pokory, z bogactwa czy z niedostatku, z szaleństw wiary czy z zatwardziałej tradycji, ze straszliwego nadużycia gorąca lub zimna w myśli i w akcji — by wrócić do tragedii europejskiej, liczącej już ponad dwa tysiące lat, w której wszystko — dotychczas przynajmniej — było wykute na miarę człowieka". Zostawszy w 1927 obywatelem brytyjskim, w kilka lat później stał się katolikiem: w swej drodze powrotnej ku źródłom cywilizacji europejskiej musiał zawędrować aż do źródła. Wkrótce potem powie o sobie, że jest „klasykiem w literaturze, rojalistą w polityce, katolikiem w religii".

Eliotowi nie chodzi w jego utworze o treść historyczną. Szuka on raczej problematyki moralnej, pokazuje nam świętego, szarpanego na progu śmierci różnorakimi pokusami.

Eliotowi nie chodzi w jego utworze o treść historyczną. Szuka on raczej problematyki moralnej, pokazuje nam świętego, szarpane go na progu śmierci różnorakimi pokusami, a przede wszystkim „pokusą świętości".

CHÓR: Nie mamy tu miasta trwałego; nie tu jest nasze życie ostateczne. Tutaj zły wiatr, zła godzina, niepewny zysk, a pewne niebezpieczeństwo. Oh, jak jest późno, jak późno, rok biegnie za rokiem. Okrutny jest wiatr, gorzkie morze, szare niebo, szare jakby nigdy nie miało być inne... Wracaj, Tomaszu! Arcybiskupie, wracaj! Wracaj z Francji! Wracaj! Prędko! Bez hałasu! Wróć byśmy mogli spokojnie umierać. Witają cię radosne okrzyki i radość tłumów, lecz śmierć będzie cię czekała w Cantorbery. Los ciąży nad twoim domem, los ciąży nad wszystkim, nad całym światem.

Pragnęlibyśmy aby nic się nie działo. Przeżyliśmy siedem lat w spokoju, zapomnieliśmy, żyjąc całkowicie lub przez pół. Był luksus i były prześladowania. Była nędza i była bezkarność, a także tysiące mniejszych niesprawiedliwości. Mimo to żyliśmy, całkowicie lub może przez pół. Czasami brakło nam zboża, a czasami zbiory były piękne. Jeden rok przynosił deszcz, a inny suszę. Były lata urodzaju jabłek i lata gdy brakło śliwek. Mimo to żyliśmy, żyjąc całkowicie lub może przez pół. Obchodziliśmy święta, słuchaliśmy mszy, piliśmy piwo i jabłecznik, zwoziliśmy drzewo na całą zimę, bawiliśmy się przy ognisku, bawiliśmy się na ulicach, bawiliśmy się nie zawsze cicho, żyjąc całkowicie lub może przez pół... Widywaliśmy narodziny, zgony i zamążpójścia, miewaliśmy rozmaite przygody, jęczeliśmy pod ciężarem podatków, śmieliśmy się i tańczyli. Były dziewczęta, które zniknęły tajemniczo i inne, którym się to nie udało. Miewaliśmy swoje strachy i ukryte lęki. Lecz teraz gniecie nas lęk wielki, lęk, który jest nam wszystkim wspólny. Lęk jak narodziny i śmierć, gdyś dotychczas widywali narodziny i śmierć w poszczególnych tylko przypadkach. Boimy się lęku, który nas przytłacza. Nikt z nas nie umie mu stawić czoła, nikt go nie rozumie. Nasze serca są rozdarte, nasze mózgi wyłuskane jak łuska się cebulę. W tym strachu, którego nikt nie pojmuje — o, Tomaszu, arcybiskupie! zostaw nas w naszych skromnej i ciepłej egzystencji! Nie żądaj abyśmy znosili los, który ciąży nad twoim domem, nad arcybiskupstwem, nad światem. O arcybiskupie, pogodnie zamyślony nad swą przyszłością, czy wiesz, czego od ciebe pragniemy?! Czy ty pojmujesz, co to znaczy dla małych ludzi porwanych nurtem przeznaczenia, dla małych ludzi żyjących wśród małych spraw, co znaczy ten wysiłek myśli — gdy mają znieść los, ciążący nad twoim domem, nad arcybiskupstwem, nad światłem? Tomaszu! Arcybiskupie! Zostaw nas! Został nas! Zostaw nas! Zostaw Dower i żegluj do Francji. Tomaszu, nasz arcybiskupie, zawsze nasz, nawet we Francji. Tomaszu — każ rozpiąć biały żagiel między szarym niebem a gorzkim oceanem i — zostaw nas, zostaw nas, zostaw nas!

KSIĄDZ: Cóż to za krzyki? Jesteście babami bez rozumu. Czy nie wiecie, że dobry nasz arcybiskup może przybyć lada chwila? Tłum na ulicach wita go wiwatami, a wy rechoczecie bez przerwy niby żaby wśród drzew. Żaby może na przynajmniej ugotować i zjeść. Lecz jakiekolwiek są wasze podłe lęki, proszę was, powitajcie go twarzą uśmiechniętą i z radością.

TOMASZ (wchodzi): Pokój wam! I pozwólcie im niech mówią. Mówią bowiem lepiej niż wiedzą i niż wy rozumiecie. Wiedzą bowiem i nie wiedzą co to znaczy działać lub cierpieć. Wiedzą i nie wiedzą, że cierpienie jest działaniem a działanie cierpieniem. Człowiek, który działa — nie cierpi więcej jak nie działa ten, który cierpi. Ale obaj są wpleceni w działalność wieczną i na wieczną cierpliwość winni się skazać i chcieć, aby była. Wszyscy winni cierpieć i chcieć cierpieć. Niech wątek trwa, który jest działaniem i cierpieniem, jak koło, które się obraca, a mimo to pozostaje w wieczystym bezruchu.

KSIĄDZ: Wybacz panie, żem zajęty wrzaskami tych głupców. nie zobaczył cię, gdyś nadchodził. Wybacz, panie, że nie byłeś lepiej przyjęty. Lecz te siedem lat oczekiwania, siedem lat modlitw, pustki i nieobecności lepiej przygotowało nasze serca na twoje przybycie niż siedem dni przygotowań w Cantorbery. Kazałem rozpalić ogień we wszystkich izbach, by wygnać z nich chłód naszego angielskiego grudnią. Typanie, nawykłeś do klimatu cieplejszego. Lecz izby znajdziesz w porządku, jakeś je zostawił.

TOMASZ: Pozostawię je w porządku, w jakim je znalazłem. Jestem wam więcej niż wdzięczny za wasze starania, ale to są drobiazgi. Nie wiele będzie spoczynku w Cantorbery przy nieprzyjaciołach, jacy są obok nas: zbuntowani biskupi — Yorku, Londynu, Salisbury. Chcieli pochwycić moje listy, zastawiali szpiegów na drogach, wysyłali na moje spotkanie ludzi pełnych nienawiście. Ale Łaska uprzedziła mnie o ich zamiarach: w innym czasie wysłałem listy, przeprawiłem się w czas piękny, wylądowałem w Sandwich. Tam czekali na mnie Broc, Warreme i Sherif z Kentu, ci właśnie, którzy mieli mnie zabić. Ale Jan dziekan z Salisbury, zabiegający o łaskę króla, ostrzegł ich i powstrzymał chwilowo ich ręce. Tak więc — oto jestem — zdrów i cały.

KSIĄDZ: Lecz oni cię ścigają?

TOMASZ: Na czas krótki sokół myśliwski krąży w powietrzu, coraz niżej i niżej. Szuka, pretekstu i okazji. Koniec będzie szybki, nagły, dany od Boga. W międzyczasie nasza działalność pierwotna zapadnie się w cień, i będzie się toczyć walka z cieniami. Cięższe to oczekiwanie niż samo wypełnienie! Wszystko przygotowuje koniec... Patrzcie!

PIERWSZY KUSICIEL (wchodzi): Oto, panie, nie robię ceremonii. Przybiegłem, zapominając o urazach, przekonany, że twoja powaga wybaczy mi moją frywolność, przez pamięć dawnych czasów. Nie odtrącisz starego przyjaciela, który popadł w niełaskę! Ty stary, dobry Tomie, wesoły Tomie, Bekecie z Londynu. Nie zapomniałeś, panie, tamtego wieczoru nad rzeką, gdy król, ty i ja byliśmy przyjaciółmi? Przyjaźń nie powinna doznawać szkód ze strony czasu! Teraz, panie, gdyś odzyskał łaskę króla, czemu mówią, że lato minęło i że krótko trwa czas pomyślny? Niech brzmią flety po łąkach, lutnie w salonach, śmiechy i kwiaty polatują nad wodą; niech będą śpiewy wieczorami, szepty po pokojach, pochodnie pożerające noc zimową, wino i mądre rozmowy. Bo przecież król i ty jesteście znowu przyjaciółmi. Klerycy i ludzie świeccy mogą radować się jak dawniej, śmiechy i zabawy nie muszą być wyliczane...

TOMASZ: Mówisz o przeszłości. Pamiętam ją — choć to nie warte pamięci.

PIERWSZY KUSICIEL: Mówię także o czasach nowych. Wiosna nadchodzi w środku zimy. Śmiech na gałęziach połyskuje słodko jak kwiaty. Lód w fosach odbija słońce. Miłość wśród gałęzi każe pulsować sokom. Radość zwycięży melancholię.

TOMASZ: Nie wiemy nic o przyszłości. Chyba to tylko, że każde pokolenie spotka się z tymi samymi wydarzeniami — i tak będzie zawsze. Mało człowiek korzysta z doświadczeń swoich poprzedników. Ale w życiu pojedyń czego człowieka nigdy się nic nie powtarza. Odetnijmy przeszłość. Otwórzmy uszy. Tylko głupiec zadurzony swą głupotą myśli, że okręca koło, na którym sam się obraca.

PIERWSZY KUSICIEL: Mówią, panie, że głuchota nie jest rzeczą najgorszą... Nie należy lekceważyć starych dobrych czasów, które wróciły. Jestem tobie oddany.

TOMASZ: Nie chcę cię takiego, jakim jesteś! Patrz na swoje postępowanie. Lepiej myśl o pokucie i idź za swoim panem.

PIERWSZY KUSICIEL: Ależ nie tak! Idziesz prędko, inni jednak mogą iść prędzej! Zbyt, czcigodny panie, jesteś pełen pogardy. Zwierzę skulone lubi siedzieć cicho. Nie tak było u naszego króla. Nie byłeś taki surowy dla grzeszników, kiedy byli twoimi przyjaciółmi. Bądź wyrozumiały. Tylko człowiek wyrozumiały potrafi się rozkoszować festynami. Posłuchaj przyjaciela: „lepiej" jest wrogiem „dobrze". Inaczej kura wyschnie na rożnie i zostaną tylko kości.

TOMASZ: Przychodzisz o dwadzieścia lat za późno.

PIERWSZY KUSICIEL: Wobec tego zostawiam cię twemu losowi. Zostawiam cię wyższym... namiętnościom za które trzeba płacić o wiele wyższą cenę. Żegnaj, panie bez żadnych ceremonii. Odchodzę jak przyszedłem, cicho, przekonany, że twoja obecna godność wybaczy mi moją frywolność. Jeżeli zechcesz mnie pamiętać w swoich modłach, nie zapomnę i ciebie — gdy będę ściskał dziewczęta.

TOMASZ: „Lepiej" jest wrogiem „dobrze"... Fantazja wiosenna, myśl ulatuje poniesiona przez wiatr. Nie do zniesienia jest wieczna pokusa, nie do zniesienia głosy, które we śnie budzą świat umarły, aby dusza nie mogła być cała w codzienności...

DRUGI KUSICIEL (wchodzi): Może nie wiesz kim jestem. Przypomnę się tobie: widzieliśmy się w Clarendon, w Northampton, wreszcie w Montmirail w Maine. Lecz teraz odłóżmy te wspomnienia, niezbyt miłe, na drugą szalę, by je mogła przeważyć szala dawniejsza i cięższa — szala wspomnień gdyś był kanclerzem. Późno wstający przecież wstają. Mistrz polityki, którą wszyscy podziwiamy, winien znowu sterować państwem...

TOMASZ: Cóż to znaczy?

DRUGI KUSICIEL: Opuszczone przez ciebie dla arcybiskupstwa — jakżeż niesłusznie! — stanowisko kanclerza czeka znowu na ciebie. Pomyśl o tym, panie. Władza prowadzi do sławy. Pełno jej w życiu. A potem — kaplica nadgrobna, pomnik marmurowy. Rozkazywać ludziom to nie jest szaleństwo.

TOMASZ: Lecz jaka z tego radość dla Boga?

DRUGI KUSICIEL: Smutek dla tych tylko, którzy oddali swą miłość wyłącznie Bogu. Naprzód więc, unikajmy dwóch linii cienia: radości, która rozpuszcza siły w słodyczy, bo ten, kto się oddaje słabości, skazuje się na pogardę. Z porywów serca ku Bogu — które gubią się w Bogu. Ten bowiem, kto pojmuje trwałą substancję rzeczy będzie wówczas błądził całkiem trzeźwy w pośrodku cieni. Wyciągnij rękę — będziesz miał władzę. Zostaw świętość na później.

TOMASZ: Kim mam być?

DRUGI KUSICIEL: Kanclerzem. Gdy król rozkazuje, kanclerz rządzi. Tej nauki nie nabywa się w szkołach. Czy można chcieć czegoś więcej jak poniżania wielkich i wynoszenia małych? Rozbrajania zbrodniarzy, wzmacniania praw, bronienia sprawy najlepszej, rozciągnia sprawiedliwości na wszystkich? Takim być, to znaczy być wielkim na ziemi, a może i w niebie...

TOMASZ: W jaki sposób?

DRUGI KUSICIEL: Władzę nabywa się za cenę uległości. Twoja władza duchowa jest ziemską stratą. Władza jest tylko tu, ofiarowana temu, kto chce ją wziąść.

TOMASZ: Do kogo należała?

DRUGI KUSICIEL: Do tego, kto odjechał.

TOMASZ: Kto ją mieć będzie?

DRUGI KUSICIEL: Ten, który przyjdzie.

TOMASZ: W jakim miesiącu, jeśli łaska?

DRUGI KUSICIEL: W ostatnim, licząc od pierwszego.

TOMASZ: Cóż trzeba dać za nią?

DRUGI KUSICIEL: Pretensje do władzy duchowej.

TOMASZ: A co się otrzyma?

DRUGI KUSICIEL: Potęgę i sławę!

TOMASZ: Nie!

DRUGI KUSICIEL: Ależ tak — dumny zostanie złamany, zamknięty w Cantorbery — władca bez królestwa, sługa, przykuty dobrowolnie do bezsilnego papieża, stary jeleń wpędzony przez psy do matni...

TOMASZ: Nie!

DRUGI KUSICIEL: Tak! Ludzie kluczą, czemuż to monarchowie nie mieli by kluczyć? Gdy wiodą wojnę muszę mieć w kraju zaufanych przyjaciół. Dobra personalna polityka wychodzi na dobro kraju.

TOMASZ: Zapomniałeś o biskupach, których ukarałem ekskomuniką.

DRUGI KUSICIEL: Ślepa nienawiść nie powinna walczyć z dobrze pojętym interesem własnym.

TOMASZ: Zapomniałeś o baronach. Będą pamiętali, że walczyłem z ich przywilejami.

DRUGI KUSICIEL: Przeciwko baronom wystąpi król. A ręką króla — ręka kanclerza.

TOMASZ: Nie! Ja trzymam klucze nieba i ziemi, jestem pierwszy i sam w całej Anglii. Wiążę i rozwiązują, otrzymawszy tę władzę od papieża. Miałbym się poniżyć, by zabiegać o nędzny urząd? Mogę przeklinać i skazywać królów, a miałbym być niewolnikiem? Nie! Idź precz!

DRUGI KUSICIEL: Zostawiam cię twemu losowi. Twój grzech wznosi się ku słońcu i ogarnia sokoły królewskie.

TOMASZ: Władza doczesna buduje świat trwały, podtrzymuje porządek. Ale ci, którzy wierzą w porządek świata, który nie jest porządkiem Bożym, zatrzymują nieporządek, sprowadzają chorobę, która niszczy to, co ich zachwyca. Władza z królem. Lecz król — to ja! Byłem jego ręką i jego głową. Ale to, co było dawniej zachwytem, dziś było by tylko upadkiem.

TRZECI KUSICIEL (wchodzi): Jestem gościem nieoczekiwanym...

TOMASZ: Oczekiwałem cię.

TRZECI KUSICIEL: Nie w tej postaci i nie z tymi zamiarami.

TOMASZ: Żaden zamiar nie będzie niespodzianką.

TRZECI KUSICIEL: Nie jestem ani żartownisiem, ani politykiem. Nie umiem schlebiać ani prawić komplementów. Znam się tylko na koniach, na psach, na dziewczętach. Umiem pilnować porządku w moich dobrach. Jestem chłopem, który troszczy się o swoje sprawy. To tylko my, baronowie z prowincji znamy kraj i wiemy czego mu potrzeba. To jest nasz kraj. Kraj nam jest drogi. Jesteśmy kośccem narodu, my, — nie te pasożyty, które się kręcą wokół króla. Wybacz, że mówię otwarcie, ale jestem brutalnym Anglikiem, który wali prosto do celu.

TOMASZ: Naprzód więc, prosto do celu!

TRZECI KUSICIEL: Mój cel jest prosty: trwanie przyjaźni nie zależy od nas, ale od okoliczności, które podlegają różnym determinacjom. Nieistotna przyjaźń narodzić się może pewnego dnia, ale przyjaźń prawdziwa, gdy raz wystygnie, nigdy się nie odradza. Raczej nieprzyjaźń stanie się sojuszem.

TOMASZ: Jak na chłopa dobrze ukrywasz swe myśli; zasłaniasz je abstrakcjami jakbyś był dworakiem.

KUSICIEL

TRZECI KUSICIEL: Oto prosta prawda: nie miej nadziei na pogodzenie się z królem Henrykiem! Lada chwila poczujesz się jak ślepy, który się budzi w osamotnieniu. To błąd.

TOMASZ: O Henryku, o mój królu!

TRZECI KUSICIEL: Innych przyjaciół można znaleźć w takiej sytuacji. Król Anglii nie jest wszechmocny. Król jest we Francji, dobijając się o Anjou. My jesteśmy za Anglią, my jesteśmy w Anglii. Jesteśmy także Normanami, a Anglia jest krajem normandzkim. Niech Angevinowie skręcą kark wojując o Anjou. Cóż to nas obchodzi, nas, baronów angielskich? Jesteśmy ludem.

TOMASZ: Do czego zmierzasz?

TRZECI KUSICIEL: Do szczęśliwego sojuszu dobrze zrozumiałych interesów.

TOMASZ: Lecz mówiłeś o baronach...

TRZECI KUSICIEL: Mówię o ich potężnej części, która zwraca się teraz do ciebie. Czegóż nam potrzeba, zapytasz? Chcemy opieki Kościoła, błogosławieństwa papieża w naszej walce o wolność. Bądź z nami, panie i uderz! Jednocześnie za Rzym i za Anglię! Będzie to koniec ze sprawiedliwością królewską nad sprawiedliwością biskupów i ze sprawiedliwością królewską nad sprawiedliwością baronów...

TOMASZ: Usiłowałem to osiągnąć...

TRZECI KUSICIEL: Usiłowałeś. Lecz co było, tego już nie ma. Czekamy nowej konstelacji.

TOMASZ: Lecz gdy arcybiskup straci zaufanie do króla, jakże może mieć zaufanie do tych, którzy pracują na królewską zgubę?

TRZECI KUSICIEL: Królowie uznają tylko władzę, która od nich pochodzi. Kościół i lud mają powody, by się wznieść ponad trony!

TOMASZ: Jeżeli arcybiskup nie może zaufać tronowi, pozostaje mu tylko ufność w Bogu. Nie lepiej jest być łupem wielu zgłodniałych niż jednego. Przyszłość to okaże. Jako kanclerz rządziłem dawniej i ludzie, jak ty, byli szczęśliwi, stojąc u moich drzwi. Na dworze i w szrankach nieraz zginałem waszą butę. Panowałem nad wami jak orzeł nad gołębiami. Czy mam teraz panować jak wilk nad wilkami? Czy mam zdradzać jak wy zdradzacie? Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że zdradziłem króla!

TRZECI KUSICIEL: Dobrze. Nie będę więc cię dłużej przekonywać i mam nadzieję, że nim nadejdzie najbliższa wiosna król okaże swą łaskę dla twej lojalności.

TOMASZ: Podnosić a potem strącać (ta myśl jest już we mnie od dawna) — rozpaczliwy gest słabnącej władzy. Tak było z Samsonem w Gazie. Lecz jeśli mam być strącony, trzeba, abym spadł sam.

CZWARTY KUSICIEL (wchodzi): Naturalnie, Tomaszu. Twoja wola jest nie do zgięcia. Lecz ze mną u boku, nie będziesz bez przyjaciela.

TOMASZ: Kim jesteś? Oczekiwałem trzech odwiedzin, nie czterech.

CZWARTY KUSICIEL: Nie dziw się, że będziesz miał jeszcze jedne. Gdybyś mnie oczekiwał, znaczyłoby to, że mnie już znasz. A ja przychodzę zawsze nieoczekiwany.

TOMASZ: Kim jesteś?

CZWARTY KUSICIEL: Ponieważ mnie nie znasz, nie potrzebuję imienia. Ale odkąd mnie poznałeś, trzeba abym ci powiedział po co przyszedłem. Znasz mnie — lecz nie widziałeś nigdy mojej twarzy. Nie było pory sposobnej po temu.

TOMASZ: Mów co masz mi do powiedzenia.

CZWARTY KUSICIEL: Już mówię. Założono na przynętę okruchy przeszłości. Swoboda równa jest słabości. Jeśli chodzi o króla — jego zakamieniała nienawiść nie zna granic. Wiesz dobrze, że nie zaufa on dwa razy człowiekowi, który był jego przyjacielem. Będzie korzystał z twoich usług roztropnie, tak długo, jak długo będą mu one potrzebne. A potem zatrzaśnie się pułapka. Co do baronów — to zawiść tych małych figurek jest bardziej jeszcze uparta niż gniew króla. Królowie myślą o dobru powszechnym, baronowie — tylko o swoim własnym. Puszczona ze smyczy zazdrość staje się łupem diabła. Baronów można użyć jednego przeciwko drugim, król bowiem musi zniszczyć wroga, która go przewyższa.

TOMASZ: Cóż więc radzisz?

CZWARTY KUSICIEL: Iść naprzód, aż do końca! Inne drogi są zamknięte, poza tą którą wybrałeś. Cóż są warta radość władzy królewskiej — władza człowieka sprawowana pod królewską ręką — oparta na podstępie i na trudnych wybiegach, w porównaniu z pełnią władzy duchowej? Człowiek dyszy pod jarzmem grzechu od czasów Adama. Ty trzymasz klucze nieba i piekła. Masz władzę wiązać i rozwiązywać. Wiąż więc, Tomaszu, rzuć sobie pod stopy króla, cesarza, biskupa, barona. Ich władzy grozi wojna, zaraza i rewolucje, nowe spiski i zerwane traktaty. Można w jedną godzinę z pana stać się sługą — taki jest los władzy ziemskiej. Stary królowie umierają, bez synów, bez cesarstwa, próżno zgrzytając zębami. Ty jesteś arcybiskupem, Tomaszu! Tkaj, tkaj przędzę życia i śmierci wiecznej. Posiadasz władzę — trzymaj ją mocno.

TOMASZ: Najwyższą władzę.

CZWARTY KUSICIEL: Najwyższą poza jednym.

TOMASZ: Nie rozumiem.

CZWARTY KUSICIEL: Nie ja ci to będę wyjaśniał. Nie przyszedłem tu po to, by ci mówić rzeczy, które znasz.

TOMASZ: Ileż to czasu będzie trwało?

CZWARTY KUSICIEL: Nie pytaj mnie, poza tym, co już wiesz. Ale myśl, Tomaszu, myśl o chwale, która następuje po śmierci. Król umiera — jest nowy król i nowe królestwo. Nowy król przyszedł, a o starym wszyscy zapomnieli. Lecz chwała męczennika i świętego trwa w głębi grobu! Myśl, Tomaszu, myśl o twoich wrogach spłoszonych, skazanych na pokutę, drżących przed cieniem, myśl o pielgrzymach, którzy stać będą w kolejce przed rozbłyszczaną trumną — i tak przez pokolenia, na kolanach, w wiecznym błaganiu. Myśl o cudach, które Bóg pozwala czynić i myśl o nieprzyjacielach, którzy będą gdzie indziej.

TOMASZ: Myślałem o tym...

CZWARTY KUSICIEL: Dlatego też ci to mówię. Twoje myśli mają więcej nad tobą władzy, niż sam król. Przemyśliwałeś je w modlitwach, wahając się na zakręcie schodów, a także na progu poranka, gdy zaczynają krzyczeć ptaki. Myślałeś, że nic nie trwa, ale koło się obraca; gniazdo jest zniszczone i ptak lamentuje; ołtarz jest rozbity, a złoto skradzione; sanktuarium sprofanowane, a jego bogactwa oddane pijakom i dziewkom. Cuda wtedy przestaną się dokonywać, wierni odejdą od ciebie. Potem będzie gorzej, bo ludzie cię znienawidzą. Nie aby tobą pogardzali, ale będą widzieli twoje braki będące faktem historycznym. I ludzie powiedzą, że nie ma tajemnicy u człowieka, który odegrał jakąś tam rolę w historii.

TOMASZ: Więc co mam robić? Co trzeba zrobić? Czyż nie najważniejszą zdobyczą jest korona wieczna?

CZWARTY KUSICIEL: Ależ tak! I o tym także myślałeś, Tomaszu. Cóż jest równe chwale świętych, którzy stoją wiecznie w obliczu Boga? Chwała ziemska, chwała królów i cesarzy jest nędzą wobec bogactw niebieskich. Idź szukać męczeństwa, idź, pochyl się nisko nad ziemią, by wyrosnąć wysoko w niebie! A wtedy zobaczysz u swoich stóp, nisko, w otchłani swoich prześladowców skazanych na wieczne męki.

TOMASZ: Nie! Kto jesteś, że mnie kusisz mymi własnymi pragnieniami? Byli tu inni kusiciele ofiarowujący radość i władzę. Co ty mi ofiarujesz? Czego żądasz?

CZWARTY KUSICIEL: Ofiarowuję ci to, czego chcesz. Żądam tego, co mi dać możesz. Czyż jest cena dość wysoka za wielkość wieczną?

TOMASZ: Inni ofiarowywali mi dobra prawdziwe — bezwartościowe, lecz prawdziwe. Ty mi dajesz marzenia, które prowadzą na potępienie.

CZWARTY KUSICIEL: A jednak roiłeś je często.

TOMASZ: Czyż nie ma drogi w mojej złej duszy, która wiedzie na potępienie za dumę? Wiem: te pokusy znaczą dzisiejszą próżność a nędzę jutro! Lecz czyż grzesznej dumy nie można zwyciężyć inaczej jak dumą jeszcze bardziej grzeszną? Czyż nie mogę działać i cierpieć nie gubiąc siebie?

CZWARTY KUSICIEL: Wiesz i nie wiesz, co to jest działać lub cierpieć, wiesz i nie wiesz, że działanie jest cierpieniem, a cierpienie działaniem. Człowiek, który działa nie cierpi więcej niż ten, który tylko znosi cierpienie. Ale obaj są wpleceni w działalność wieczną, w wieczną cierpliwość, na którą wszyscy muszą się zgodzić, aby ją chcieć i którą wszyscy muszą wycierpieć, aby ją chcieć — aby istniał wątek i aby koło nie przestawało się obracać.

CHÓR: Nie ma odpoczynku w domu. Nie ma odpoczynku na ulicy. Słychać gorączkowe stąpania. Powietrze jest gęste i ciężkie. Gęste i ciężkie jest niebo.. Ziemia drży pod stopami. Cóż to tak pachnie oszałamiająco? Co to za blask zielony, który padł spoza chmury na uwiędłe drzewo. Ziemia jest brzemienna płodem piekła. Cóż to za czerwień kleista, która spływa na moją rękę?

CZWARTY KUSICIEL: Życie człowieka to kłamstwo i złudzenia. To co jest — nie istnieje. Słońce ze sztucznych ogni, żandarm z Guignolu, nagrody przyznawane na święcie dzieci, nagrody przyznawane za wypracowanie angielskie, dyplom honorowy dla uczonego, odznaczenie dla męża stanu — wszystko to traci na rzeczywistości. Człowiek idzie od złudzenia do złudzenia, — człowiek uparty, ślepy, zajęty swoim własnym zniszczeniem idzie od klęski do klęski, od wielkości do wielkości a wreszcie — do ostatniej złudy. Zagubiony wśród miraży własnego znaczenia, wróg społeczeństwa, wróg samego siebie.

TRZEJ KSIĘŻA: Tomaszu! Arcybiskupie! Nie wstawaj przeciwko tej fali! Nie odpływaj na morze w czas nieustępliwego wiatru! Gdy jest burza, czyż nie powinniśmy zaczekać aż fale opadną? Czyż nocą nie powinniśmy zaniechać podróży?

CHÓR: Czy to zahukała sowa wśród drzew?

KSIĘŻA: Czy dobrze założono sztaby u drzwi, czy starannie przekręcono klucz w zamku?

KUSICIELE: Czy to deszcz uderza w okna, czy to wiatr szamocze się za drzwiami?

CHÓR: Czy to pochodnia płonie w sali, a lampka w izbie?

KSIĘŻA: Czy warty stoją pod murem?

KUSICIELE: Czy brytan czuwa u kraty?

CHÓR: Śmierć ma tysiąc rąk i zna tysiące dróg.

KSIĘŻA: Może przyjść na oczach wszystkich i może przyjść cicho, niedostrzegalna.

KUSICIELE: Może być słowem szepniętym w ucho, i może być ciosem wymierzonym w skroń.

CHÓR: Można iść z latarnią, a przecież wpaść do wody i utonąć.

KSIĘŻA: Można iść w biały dzień po schodach i upaść na obruszonym stopniu.

KUSICIELE: Można siedzieć przy stole i czuć jak zimno ogarnia ciało.

CHÓR: Nie byliśmy szczęśliwi, o panie, nie byliśmy zbyt szczęśliwi. Nie jesteśmy głupimi babami i wiemy czego możemy oczekiwać, a czego nie. Znamy tortury i prześladowania, znamy wymuszenie, gwałt, nędzę, chorobę, starców bez ognia na zimę, dzieci bez mleka latem, odebrany plon pracy, grzechy, które przygniatają barki. Widzieliśmy syna kalekę, córkę shańbioną nad brzegiem kanału. A przecież ciągle żyjemy — całkowicie lub może przez pół. Łatając, zbierając chrust po nocy, budując sobie domostwa, by móc w nich spać i jeść, pić i śmiać się. Bóg dawał zawsze trochę rozsądku i trochę nadziei. Ale teraz ogarnął nas lęk, którego nie umiemy przemóc, ani od niego uciec. Pada on na nas jak deszcz, przecieka przez drzwi, spływa przez kominy, dostaje się do naszych uszu, do naszych ust, do naszych oczu. Bóg nas opuszcza! Bóg nas opuszcza i to jest bardziej bolesne niż narodziny i niż śmierć. Rozpacz spada na nas wonią oszałamiającą, w otaczających nas ciemnościach przybiera kształty; to pomrukującego leoparda, to znowu niedźwiedzia, co skrada się na miękkich łapach; to jest złośliwą małpą, to znowu hieną, która zanosi się śmiechem. Władcy piekieł są koło nas! Zbliżają się do nas, kładą się nam pod stopy, biją skrzydłami w ciemnościach! O Tomaszu! Ratuj nas! Ratuj nas i siebie jednocześnie! Bo jeśli ty zginiesz, my zginiemy z tobą.

TOMASZ: Teraz widzę wszystko jasno, teraz widzę sens każdej rzeczy. Pokusa już nie wróci pod tą postacią. Ta ostatnia miała być zdradą najwyższą: czynieniem dobra dla złego celu! Zwykła skłonność do powszedniego grzechu — oto tak zaczyna się życie ludzkie. Przez trzydzieści lat takim byłem; szukałem na wszystkich drogach radości, pochwały, zadowolenia zmysłów, wiedzy, myśli, muzyki, filozofii, ciekawości, purpury gila na gałązce bzu, zwycięstwa w turnieju, zwycięstwa w szachach, miłości w ogrodzie, pieśni przy dźwięku instrumentów. Wszystkiego tego jednakowo pragnąłem. Ambicja pojawia się wówczas, gdy wyczerpana jest już siła młodości i gdy wiemy, że wszystkiego nie osiągniemy. Przychodzi skrycie. Czynimy dobrze, a grzech rośnie. Gdy król walczył o Tuluzę zwyciężyłem baronów ich własną bronią. Mogłem nienawidzieć ludzi, którzy nienawidzili mnie — tę tępą szlachtę, której maniery są równie czarne, jak jej paznokcie. Jedząc z królewskiej miski, nie myślałem o służbie Bogu. Sługa Boży stoi wobec większego niebezpieczeństwa grzechu i bólu niż sługa królewski. Ci co służą większej sprawie mogą posługiwać się sprawą, nie przestając czynić dobrze: walka z ludźmi polityki czyni sprawę polityczną, nie przez to jak się ją czyni, ale przez to, kim są oni. Wiem, że reszta mojej historii wyda się wam nierozumnym szaleństwem, samobójstwem, namiętnością fanatyka. Nieoczekiwane są przyczyny odległych spraw. Lecz wy za wszystko zło, za wszystkie świętokradztwa, za zbrodnie, wyzysk, obojętność — i ty, i ty i ty — zostaniecie ukarani! I ty także! O dobry mój aniele, zesłany mi przez Boga, byś był moim stróżem przybądź, spłyń na ostrza mieczów!

tł. j. d.

NA ZAMÓWIENIA KIEROWANE DO ADMINISTRACJI „DZIŚ i JUTRO" ŚP. WYD. „PAX" WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPŁATĘ ZŁOTYCH 750 za EGZ. NA KONTO PKO I 8515 LUB PRZEKAZEM POCZTOWYM

Józef Szczawiński — Notatnik wakacyjny

Lato

II.

Nożem szyn wpółzbudzonych, stukot kół w tunelu
rzeczywistość jak owoc zielony rozdziela.
Przypływami powitań holowany ponton —
dzień wczorajszy rozgradza płoty horyzontu.
Z niepokojem wrzeźbionej w sypki piasek stopy
złączyła się ciekawość. Nie można wytropić
znajomych dotąd ścieżyn, którymi przed świtem
piął się kołowrót nieba, wracając nad szczyty.
Upał związuje strumień w pętle wodospadu,
cień troskliwy — uczucie na cząstki rozkłada
topiąc niechęć w zieleni jak w głębokiej studni
gdzie ukrył się strachliwy chłód drżąc przed południem.
Smyczek rozpruwa niebo ostry jak żyletka,
strunami zszywa szparę by melodią przetkać,
budząc niespodziewanie drugi księżyc w nowiu.
(Dwa światy zlane w jedność trudno rozpołowić).
Gwiazdy i liście tłoczą się by lepiej słyszeć,
fortepian je z łatwością łowi na klawisze.
muzyka utraciła piękno, jest udręką,
spokój przywołać można banalną piosenką,
symfonie z kabaretu mają wartość ciszy,
wrzaskliwy akordeon sonety wypisze —
subtelne, na szybach wyczernionych sadzą.
Powieki — motylami, czas zmarszczki wygładza.
Dłoniom się uprzystępnia jak bezpieczna burta —
po raz pierwszy szczęśliwa niewiadomość jutra ...

III.

Dzień odjazdów rozpina deszczowe woale,
poranki piegowate słońcem pooddalał.
Z korytarzy zniknęła różnorodność kroków,
chmury szarość skandują prologami mroku.
Nagłe odpływy gwaru przywołują pustkę,
— wczoraj — tętni po szybach jak złowiony mustang.
Nie wszyscy z dni zapadłych mogą się wyleczyć,
odległość nad przeżyciem roztoczyła pieczę.
Godziny nie sprzyjają tym co pozostali,
w ognikach papierosów smutek się dopala.
Przestrzeń narastającą myśl łatwo przemierza,
przyszłość wypełnia kształtem opuszczony leżak.
Wieczór skrawkami rozmów rośnie w nieskończoność
by wymieść ciszę nocy skrzypem dni stłuczoną.....
Nowy ranek obmywa okna świateł gąbka,
niebo liże łakomie cukry mgieł na łąkach.
Klucz lasów teraźniejszość uwięził w dolinie.
Na jeziorka niebieskie bezpiecznie wypłynąć,
z obłoków zbić nie trudno gwoździmi pragnień tratwę.
Parność dni przeddeszczowych zapomnieć jest łatwo.
Stromość gór bezpieczniejе, szczyt można okradać —
mech przyjazny i miękki — łagodnie się spada,
by za chwilę z powrotem piąć się — nazbyt nęci
nieosiągalne bijąc wzwyż fontanną rtęci.
Dzień kwitnąc kulistością doskonali w wieczorze
swój kształt, lecz uczuciem wybuchnąć nie może,
ze stu poprzednikami skotwiczył go promień
gwiazdą, najniesforniejszą przemytniczką wspomnień.
Zwabione deszczem grzyby drzewom kradną połcień,
jeżyny dają cierpkość jagód za ukłucia,
krew zbyt łakomych dłoni cukrzy im owoce...
Po linkach księżycowych natarczywe noce
wspinają się do okien, sprzedając bez targów
za uśmiech z rzęs strzepnięty, trzos sierpniowych skarbów.
Do balkonów nieufny świat zbliżyć się nie chce,
można w oczach oglądać go niby w soczewce
— załamanie — rysuje linie piękną prościej
zniekształcając banalne hierarchie wartości,
reguluje puls czasu stokroć ceniąc więcej,
pięć dni, niżli okrąg dwunastu miesięcy.
Słońce ostatnich ranków z dobroci odlane,
eksploduje radością najniespodziewaniej,
ku południom zachwytów pnie się barw niesyte,
nim uchwyca je oczy przyćmione przedświtem...

— — — — — — — — —

Lato jak koniczyna (ta zwykła, trójlistna),
z drogocennym kamyczkiem rosy, lub jak wiśnia
zdjęta z drzewa ustami — smak ma życia i świeżość
słów niepisanych, w które nie można nie wierzyć.
Ukrył ziarenka przeżyć lata złoty szerszeń,
gdzie? nie wiem — lecz istnieją kiełkujące wierszem.

Między zabobonem a wiarą

(Dokończenie ze str. 6-ej

ców. Jest to sekta na Mazurach nie nowa. Istniała przed wojną, ale nie w tym co dzisiaj stopniu rozwoju. Zdobyli ostatnio pokaźną ilość nowych wyznawców, dlatego słowo niemieckie w ich akcji propagandowej należałoby bezwzględnie zlikwidować.

Słyszałem o wypadku posługiwania się słowem niemieckim w jednym i drugim wypadku również przez **baptystów.** Raczej jednak był by to wypadek odosobniony, pozostałość może z okresu działalności przedwojennej baptystów na terenie Pomorza Wschodniego. Mimo bowiem, że baptyzm przyszedł z Niemiec i o tym trzeba pamiętać, to jednocześnie uwzględniać należy i to, że dosyć dawno już w Polsce wytworzyła się polska, krajowa „odmiana“ baptyzmu (woj. łódzkie).

Z sekt oficjalnie działających zasadniczo żadna więcej nie posługuje się niemieckim jako językiem propagandowym. Natomiast próbują rozwijać na Mazurach działalność także i różne ruchy sekciarskie, niezalegalizowane, kryjące się tajemniczo w oddalonych od centrów, głuchych miejscowościach, gdziekolwiek tylko znajdą się skupiska ludności mazurskiej. Ostatnio powiadano mi o wciąganiu w orbitę wpływów sekciarskich ludności przesiedleńczej, **grecko - unickiej** ze wschodnich województw, a także elementu **prawosławnego** z Polesia oraz **katolickiego,** zarówno z za Buga jak i z Polski Centralnej. Są to jednak raczej wypadki pojedyńcze i znaczenia większego nie posiadają.

W ostatnich latach aktywną bardzo działalność przejawiali jeszcze na Mazurach **Adwentyści Dnia Siódmego** oraz **Badacze Pisma Świętego.** Pomniejszych sekt, zalegalizowanych i niezalegalizowanych, działa tu jeszcze kilkanaście. Na żadnym innym obszarze Polski, sekciarstwo tak się nie rozwinęło, jak na Mazurach, z wyłączeniem niezmiennie katolickiej Warmii. Wymagałoby to pewnego naświetlenia.

Analiza zjawiska wymaga sięgnięcia w odległą przeszłość. Po pierwszych próbach niesienia chrześcijaństwa na ziemie pruskie przez Św. Wojciecha, przez biskupa Gotfryda, wreszcie przez biskupa Chrystiana, organizatora pokojowej krucjaty rycerstwa polskiego na pogańskie ziemie pruskie (1218—1223) — cała akcja ustaje, by nabrać rozmachu po usadowieniu się Krzyżaków. Chrystianizacja niesiona mieczem i pożogą, siłą rzeczy nie może przemawiać, budzi opory i kontrdziałanie. Pogaństwo utrzymuje się jeszcze długie lata, skryte gdzieś w cieniu niezmierzonym puszcz. Jest zjawiskiem powszechnym widocznie, skoro np. biskup zambijski w XV wieku zakazuje pod karą chłosty i grzywny odprawiania pogrzebów, modłów, zebrań, biesiad, składania ofiar itp. we dług obyczajów pogańskich. Wańkowicz w „Na tropach Smętka“ wspomina, że jeszcze w 1520 roku istniał zwyczaj składania ofiary z czarnego byka dla odstraszenia nieprzyjaciela.

Na ten żyjący na pograniczu między „dawnym“, a „nowym“ lud spada potem reformacja, przyczyniając się do dalszego pogmatwania pojęć. Do tego znów i reformacja jest narzucana masom ludowym siłą, jako wynik przejęcia nowej wiary przez panów ziemskich.

Dalsze dzieje przeistaczają znów religię w argument walki politycznej, w oręż germanizacji.

W sumie, na kilkowiekowym podkładzie tarć i zmian religijnych, psychika ludu ziemi mazurskiej nasiąkła tysiącami przesądów, zabobonów, zwyczajów różnych religii, wszelakich wierzeń najbardziej fantastycznych. Niski stopień rozwoju kulturalnego dopełnił reszty. Czyż trzeba bardziej dogodnych warunków dla rozwoju sekciarstwa?

Dzisiaj, jak wspomniałem, sekciarstwo na tych ziemiach, ogarnia tu i ówdzie swymi wpływami także i ludność napływową. Też nic w tym nie ma specjalnie dziwnego. Na pojezierze mazurskie napłynęła przeważnie ludność uboga, prymitywna, zacofana częstokroć kulturalnie. Na taką mentalność łatwo oddziaływa umiejętna propaganda, w dodatku, gdy pierwiastki religijne, ale bez ugruntowanego podkładu są tutaj bardzo silne.

W pierwszym etapie zlikwidowanie niemczyzny w propagandzie poszczególnych kultów przez dostarczenie druków w języku polskim. W drugim intensywna praca przez podniesienie stopnia rozwoju kulturalnego ludności. Przy tym nie zapominanie o wielkiej roli społeczno - wychowawczej i moralno - etycznej Kościoła Katolickiego. To byłoby zasadnicza recepta na uzdrowienie stosunków w tej dziedzinie.

Eugeniusz Paukszta

Wobec zaspokojenia wszystkich dotychczasowych subskrybentów

I SERII

NARODOWEGO WYDANIA DZIEŁ

ADAMA MICKIEWICZA

oraz

napływu licznych dodatkowych zgłoszeń

Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „CZYTELNIK“, chcąc w 150-tą rocznicę urodzin Poety udostępnić najszerszym kręgom ludzi pracy całość twórczości poetyckiej Wieszcza, otwiera dodatkową przedpłatę na I serię Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza na czas od 1.10. do 15.11.1949 r.

Objętość I serii 4 tomy — 1.700 stron. Tekst krytyczny opracował Komitet Redakcyjny pod przewodnictwem Leona Płoszewskiego.

Wydanie na papierze bezdrzewnym — okładka półsztywna.

Każdy, kto chce skorzystać jeszcze z dogodnych warunków przedpłaty, wysyła pod adresem Administracji Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza poniższe zamówienie.

W sprzedaży księgarskiej cena I serii będzie znacznie wyższa. Książki wysyła Administracja niezwłocznie po otrzymaniu wpłaty.

Prosimy wypełnić czytelnie

ZAMÓWIENIE

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię (4 tomy) Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza. Należność w sumie 800 zł wpłacam równocześnie na konto PKO Nr I-7474 (brzmienie konta: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „CZYTELNIK“, Subskrypcja Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza Warszawa).

Nazwisko ..... Miejscowość (poczta) .....

Imię ..... ulica, nr. domu .....

podpis .....

Wyciąć albo przepisać i przesłać pod adresem: Administracja Narodowego Wydania Dzieł A. Mickiewicza, Warszawa ul. Wiejska 16, II p.

Czytajcie

„Słowo Powszechne“!

TYDZIEŃ KULTURALNY

NA WYBRZEZU

Nie jestem specem od muzyki, a przecież muszę dzisiejszą „kronikę" muzyce poświęcić. Trudno, skoro tak się składa, że w rejonie Gdyni, Sopotu i Gdańska, brak jest recenzentów muzycznych, trzeba samemu chwycić za pióro. Nie tyle dla oceny artystycznej strony zjawisk, ile dla zwrócenia uwagi na społeczno - kulturalny aspekt tego, co się dzieje obecnie w życiu muzycznym Wybrzeża. A dzieją się tu rzeczy, o których wiedzieć coś powinni ludzie w głębi kraju.

Ośrodkiem ruchu muzycznego na Wybrzeżu była i jest Filharmonia Bałtycka dawniej z siedzibą w Sopocie, dzisiaj w Gdańsku. Kierowana od trzech lat przez dr. Stefana Śledzińskiego, zdobyła sobie w życiu kulturalnym naszego „trójmiasta" i całego województwa gdańskiego ważną pozycję: stałe jej tygodniowe koncerty w Sopocie lub Gdańsku i częste wypady na prowincję, przyczyniły się w dużym stopniu do podniesienia kultury muzycznej mieszkańców Wybrzeża. Co raz to wyższy poziom koncertów, granych przez ambitną i wytrwałą w pracy nad sobą orkiestrę przy współudziale najwybitniejszych artystów, solistów, sprawił, że występy Filharmonii Bałtyckiej zyskały sobie ustaloną reputację i cieszyły się z reguły dobrą frekwencją.

Na progu sezonu 1949/50 zaszły fakty, które nie tylko utrwaliły ten pomyślny stan rzeczy, ale co więcej otworzyły przed życiem muzycznym Wybrzeża nowe horyzonty. Jeden fakt — to upaństwowienie Filharmonii Bałtyckiej, co stało się niewątpliwie w uznaniu jej dotychczasowej roli i w założeniu, że Gdańsk musi posiadać filharmonię odpowiadającą pierwszorzędnemu znaczeniu tego miasta, a raczej „trójmiasta", bo Gdańsk, Sopot i Gdynia stanowią właściwie już dziś jeden zespół. Drugi — to przekazanie Filharmonii Bałtyckiej w ręce dr. Zygmunta Latoszewskiego, którego nazwisko mówi samo za siebie. Przyznam się, że niebardzo wierzyłem w prawdziwość pogłoski, jaka z końcem wiosny br. dotarła na Wybrzeże: że przychodzi do nas Latoszewski. I to z Warszawy, tak nieskorej do dawania... A jednak przyszedł. Nie potrzebuję podkreślać, jaka radość wstąpiła w serca miłośników muzyki na Wybrzeżu.

Była to radość w pełni uzasadniona. Z przybyciem Latoszewskiego na Wybrzeże, w tutejsze życie muzyczne wstąpił jakby nowy duch, Filharmonia Bałtycka rozpoczęła nowy etap pracy, etap znaczony niespotykanymi sukcesami. Jakkolwiek przywykliśmy już w Gdańsku i Sopocie do licznej frekwencji na koncertach symfonicznych, to przecież to, co się obecnie dzieje, przeszło wszelkie oczekiwania. Ogromna sala Wielkiego Teatru w Gdańsku — Wrzeszczu, licząca blisko 1.100 miejsc, gdzie co piątek odbywają się koncerty, okazała się o wiele za małą. Przedsprzedaż biletów odbywa się w czwartek od godziny 16-tej, a już na parę godzin przed tym ustawia się przed kasą długa kolejka, w której dochodzi do ostrych scysji — bilety oczywiście są wysprzedane w tempie błyskawicznym, setki ludzi muszą odejść od kasy z niczym. Przed koncertem Lwa Oborina w dn. 20.X, wywiązała się przed teatrem formalna bójka, a sam gmach był dosłownie oblężony. Ostatnio doszło już do tego, że bilety są wyprzedane na pięć dni przed koncertem. Szczególnie masowo uczęszcza na koncerty symfoniczne, gdańska młodzież akademicka, która poprostu blokuje kasę, wywołując wśród starszych „kolejkowiczów" głosy protestu i oburzenia. Co się dziwić Gdańskowi, kiedy Gdynia, mająca reputację miasta niemuzykalnego, zmieniła nagle front, okazując dla koncertów Filharmonii jeszcze większy bodaj entuzjazm. Z pięciu dotychczasowych koncertów, trzy zostały powtórzone w Gdyni i wszystkie trzy odbyły się przy wypełnionej po brzegi sali teatru „Wybrzeże" (liczącej 900 miejsc) i w atmosferze niezwykle serdecznego przyjęcia. A Sopot, najbardziej umuzykalniony, jeździ na koncerty do Gdańska lub Gdyni, ale niebawem będzie miał występy Filharmonii u siebie (w auli Gimnazjum Bolesława Chrobrego), a wtedy pokaże na co stać.

Na tak wielkie powodzenie koncertów symfonicznych złożyły się zapewne różne przyczyny. Rok chopinowski, który w najszerszych masach społeczeństwa upowszechnił zrozumienie i kult dla muzyki. I udział w koncertach tak znakomitych artystów, jak: Lelia Gousseau, Lew Oborin, Grażyna Bacewiczówna, Zbigniew Szymonowicz, Frantisek Maxian. Przede wszystkim zaś fakt objęcia Filharmonii Bałtyckiej przez dr. Latoszewskiego, pod którego kierownictwem orkiestra poczyniła znaczny postęp, dostrzegalny każdemu. Jakiej zaś miary dyrygenta pozyskało Wybrzeże w osobie nowego dyrektora Filharmonii, o tym dostatecznie przekonały melomanów „trój miasta" już pierwsze w tym sezonie koncerty, a wśród nich zwłaszcza wspaniały koncert inauguracyjny, poświęcony muzyce słowiańskiej (Karłowicz, Czajkowski, Dworzak) z udziałem Bacewiczówny i koncert poświęcony muzyce rosyjskiej (Rymskij Korsakow, Rachmaninow) z udziałem Oborina. Niezwykłym przeżyciem dla mieszkańców Wybrzeża był koncert muzyki klasycznej (Beethoven, Mozart, Bach), dyrygowany przez Bohdana Wodiczkę, w ramach którego Lelia Gousseau odegrała porywający koncert es-dur Beethovena. Nie było przesady w słowach prof. St. Bielickiego, który stwierdził na łamach „D. Bałtyckiego": „Koncert ten należał do tych wyjątkowych, po którego ukończeniu słuchacze opuszczają salę pod głębokim wrażeniem zetknięcia się ze sztuką w jej najwyższym objawieniu".

Dr. Latoszewski, przybył na Wybrzeże nie tylko w celu objęcia Filharmonii Bałtyckiej, ale również dla zorganizowania Opery Gdańskiej, która ma zostać odbudowana na Targu Węglowym w Gdańsku w ramach planu sześcioletniego. Szczęśliwie się składa dla Wybrzeża, że wieloletni dyrektor Opery Poznańskiej, obeznany doskonale z tak trudnym problemem, wziął sprawę Opery Gdańskiej w swoje ręce. Na razie dr. Latoszewski prowadzi Studio Operowe przy Filh. Bałtyckiej, w którym kształci się 20 młodych solistów, rekrutujących się ze szkół muzycznych na terenie Wybrzeża i Pomorza. Został również zorganizowany 60 osobowy chór operowy, oraz 30 osobowy zespół baletowy. Trójczłonowy ten zespół przygotowuje trzy opery, jakie jeszcze w tym sezonie będą wystawione w Gdańsku pod kierownictwem muzycznym Latoszewskiego i reżyserskim prof. Wiktora Pregy, kierownictwo baletu spoczywa w ręku Janiny Jarzynówny. Na pierwszy ogień pójdzie „Oniegin" Czajkowskiego, którego premiera przewidziana jest na luty 1950 r.

Dalszy etap pracy dr. Latoszewskiego, to zorganizowanie wielkiego chóru filharmonicznego, który będzie wykonywał literaturę chórowo-orkiestrową, jak np. IX Symfonię Beethovena, „Requiem" Mozarta, Kantaty Bacha i in. Oraz utwory chóralne oparte o folklor polski, jak „Wesele lubelskie" Szeligowskiego, „Suity łowickie" Maklakiewicza i in. Utwory tego typu będą wykonywane w ramach cyklu koncertów upowszechniających muzykę najszerszym masom, ponieważ śpiew w połączeniu z orkiestrą najsilniej przemawia do niewyrobionego słuchacza. Do tej kategorii należeć będą również koncerty operowe, których program zawierać będzie fragmenty popularnych oper polskich, francuskich, czeskich, rosyjskich i włoskich z udziałem orkiestry Filharmonii i czołowych artystów operowych. Oczywiście, troską naczelną dr. Latoszewskiego jest poziom orkiestry Filharmonii, której skład ma obejmować od 1 stycznia 1950 r. 90 osób. W chwili obecnej liczy już ona 76 osób, przyczym została ostatnio wzbogacona o tak rzadki instrument, jakim jest harfa (co od razu dało się odczuć na koncercie).

Plany nowego dyrektora Filh. Bałtyckiej są szeroko zakrojone, program działalności ogromny. O ile tylko nie zawiodą tzw. siły wyższe, program ten zostanie wykonany. O to możemy być na Wybrzeżu spokojni.

Włodzimierz Wnuk

FILM

BITWA O STALINGRAD

„Bitwa o Stalingrad" wielki film dokumentarno-fabularny jest podobnie jak „Trzeci Szturm" specyficzną próbą syntezy zjawisk decydujących o przebiegu wydarzeń wojennych. „Bitwa o Stalingrad" jest utrzymana w tonie surowej narracji, elementy fabularne zostały zredukowane do minimum.

Reżyser W. Pietrow w ten sposób mówi o swojej pracy: „Po raz pierwszy w historii sztuki stanęło przed nami zadanie: pokazać sceny batalistyczne o nieznanych w historii wojen rozmiarach. I nie tylko pokazać, ale także ujawnić ich sens w świetle nowej stalinowskiej nauki wojennej. Ani w literaturze, ani w malarstwie, ani też za pośrednictwem opisów walk i statycznych panoram nie można tak przekonywująco, naocznie pokazać działań wojennych w ruchu w czasie na ziemi i niebie na froncie długości setek kilometrów.

Tylko długie i drobiazgowe studia, wielokrotne spotkania z bezpośrednimi uczestnikami walk, współpraca sztabu generalnego, kierownictw konsultantów i pomoc jednostek Armii Radzieckiej, biorących udział w filmie pozwoliły nam, jak się wydaje znaleźć nie tylko pod względem politycznym i taktycznym, ale także artystycznym przekonywające środki do osiągnięcia celu" (cytuję za nr 16/72 „Filmu"). Film jest pomyślany i rozwiązany w ten sposób, że pozwala na zrozumienie techniki wojennej, radzieckiej strategii i równocześnie pokazuje nastroje i zmagania na froncie i kulisy dyplomatyczne.

Dwie warstwy filmu rozwijają się równolegle w ten sposób, że stale jest ujawniana współzależność scen batalistycznych i scen na Kremlu. Pasjonujące jest śledzenie przebiegu narad wodza z generałami, przenoszenie się z mapy na pole bitwy.

Sceny batalistyczne zostały opracowane z niezwykłym pietyzmem, epizody takie, jak przeprawa przez Don i bohaterska walka gwardzistów zostają długo w pamięci. Jak we wszystkich filmach radzieckich w „Bitwie o Stalingrad" rozwiązanie scen zbiorowych uderza celnością. W scenach przeprawy przez Don pokazano nam zbliżenia tylko paru twarzy, ale o jakiej wielkiej ekspresji. W obu wspomnianych fragmentach wielką rolę odgrywa dźwięk a właściwie wykorzystanie kontrastu ciszy, dźwięku strzałów i muzyki.

Reżyser i operator potraktowali temat z wielką stoicką powściągliwością i surowością. Z wyjątkiem paru momentów bardzo dyskretnej dramatycznej symbolizacji (W jednym z pierwszych epizodów na marginesie jakby płonącego miasta widzimy kwitnące słoneczniki, kobieta ze zwłokami dziecka na tle niszczonego miasta, oświetlenie i poetyzacja zgliszcz w epizodzie gwardzistów) zachowany został dokumentarnie surowy ton narracji. Ta metoda doskonale oddaje patos wydarzeń.

Odtworzenie postaci historycznych jest w tym filmie rzeczywiście niezrównane. W dokumentarnym filmie o Leninie widzimy autentyczne fotografje przemawiającego Stalina, i można powiedzieć że A. Dikij potrafił mistrzowsko oddać postać generalissimusa.

Oto co sam wykonawca mówi o swojej pracy nad tą trudną rolą:

...„wszystko to wymagało nie zewnętrznego podobieństwa, nie naśladowania, lecz głębokiego wewnętrznego rozwiązania obrazu postaci w nieskończonym bogactwie jej treści i wyrażenia oddzielnych jej elementów. Oto one: głębokie naukowo umotywowane przekonanie, niewzruszona wiara w zwycięskie idee komunizmu, w ich prawość, w historyczną konieczność ich całkowitego zwycięstwa, nieugięta wola walki aż do zwycięstwa... — ogromny temperament, kierowany wolą, powstrzymywa namiętność, skupienie, lecz nie chłód; — bezwzględna logika, głębokie wnikanie w istotę zjawisk; — precyzyjna analiza faktów prowadząca do historycznego przewidywania; — umiłowanie ludzkości w ogóle, troska o człowieka w szczególności." (cyt. nr 16/72 „Filmu").

„Bitwa o Stalingrad" jest zarówno doskonałym dokumentem, jak i dobrym filmem interpretującym historię.

Ku czci Goethego

Trzeba zauważyć, że mało która — a może nawet żadna poprzednia — z cyklu akademii roku jubileuszowego wielkich pisarzy (Mickiewicz, Słowacki, Puszkin, Goethe) zgromadziła tak wielką liczbę gości. Tym razem obszerna sala Teatru Polskiego wypełniona była do ostatniego miejsca, na długo przed początkiem akademii i spóźniający się musieli wobec zasady nienumerowanych miejsc, stać pod ścianami. Magnesem ściągającym była zapowiedziana obecność delegacji pisarzy niemieckich, którzy zjawili się u nas, jako pierwsi przedstawiciele Nowych, Demokratycznych Niemiec. Przybyli z Berlina: minister Oświaty niemieckiej Republiki Demokratycznej Paul Wandel, poeta Johanes Becher, znakomity pisarz, autor „Sporu o Sierżanta Grischę" Arnold Zweig, działacz kulturalny, jeden z kierowników „Związku Kulturalnego dla Demokratycznego Odrodzenia Niemiec" Hans Gysi, oraz Hans Eisler, wybitny kompozytor, brat owego działacza politycznego Eislera, który był przez Anglików porwany z „Batorego" W imieniu delegacji przemawiał na akademii Johanes Becher i mowa jego była kulminacyjnym punktem pierwszej części uroczystości. Przemówienie poświęcone elementom ideologii postępowej w twórczości Goethego Becher zapoczątkował szeregiem stwierdzeń natury ogólnopolitycznej, w których dał wyraz dobrej woli Niemców-demokratów do stworzenia w swej ojczyźnie takich stosunków, któreby uniemożliwiły ze strony Niemiec napad na jakikolwiek inny kraj, szczególnie słowiański, by raz na zawsze położony został kres tym najazdom, jakie w przeszłości Polska doznała od Niemiec. Niemcy-demokraci pragną, by cały ich naród pojął i zrozumiał na jak straszliwe cierpienia skazywał on dotąd naród polski. Mówca postulował nie tyle odbudowę dobrych stosunków polsko-niemieckich, gdyż trudno odbudowywać czego w przeszłości nie było, ale zbudowanie takich właśnie stosunków zupełnie na nowo. Wyraził nadzieję, iż wzajemne uroczystości, w roku bieżącym podejmowane, — w Niemczech ku czci Chopina, w Polsce ku czci Goethego, są pierwszą cegłą takiego gmachu przyjaźni.

Na linii Praga-Warszawa

Z okazji niedawnego Narodowego Święta Czechosłowacji warto może rzucić okiem na rozwój wzajemnych stosunków kulturalnych między naszymi dwoma krajami, który przed wojną ograniczał się do przetłumaczenia trylogii Capka oraz całego „Szwejka".

Najżywsza wymiana — i to wzajemna — odbywa się oczywiście w literaturze. Liczne polskie pozycje przetłumaczone zostały na czeski oraz na słowacki. Na ten ostatni szczególnie wiele przetłumaczono książek autorów katolickich z Janem Dobraczyńskim, Jerzym Zawiejskim, Hanną Malewską na czele. Jednak ze słowackiego na polski dotąd nie przetłumaczono ani jednej pozycji, a może wartoby zwrócić uwagę polskim katolickim firmom wydawniczym (np. „Paxowi"), że w Czechosłowacji istnieje twórczość katolicka... Przez wszystkie powojenne lata żywym był natomiast ruch wydawniczy tłumaczeń z czeskiego. Początkowo specjalne zasługi w tym względzie położyła firma „Awir" i współpracujący z nią doskonały tłumacz i krytyk literacki Z. Hierowski. Kilka pozycji wydał „Czytelnik", „Wydawnictwo Zachodnie" przyswoiło nam Capka „Inwazję Jaszczurów", „Książka i Wiedza" wypuściła kilka pozycji (np. Rzezacza „Ślepa Uliczka", Olbrachta „Anna Proletariuszka"), ostatnio specjalnie obficie wydaje czeskie książki Państwowy Instytut Wydawniczy. Obecnie nie ma miesiąca, by nie pojawiły się na naszych półkach nowe książki czeskie. Do najwybitniejszych pozycji czeskiej — a przyswojonej nam — literatury, wypada zaliczyć przede wszystkim (nie wymieniając wznowień rzeczy dawniej już po polsku wydanych jak: „Szwejk", „Mikola Szuhaj Zbójnik") — Drdy urocze „Miasteczko na dłoni", Rzezacza „Krawędź", Pujmanowej „Igranie z ogniem", Capka „Księga Apokryfów", „Inwazja Jaszczurów", Nerudy „Opowiadania ze Starej Pragi", Majerovej „Syrena".

Ruch filmowy jest bardziej jednostronny. Zgodnie z dysproporcją produkcji o wiele więcej oglądamy na naszych ekranach filmów czeskich, z nich kilka było doskonałych, niż Czesi oglądają naszych. Rozwija się współpraca polsko-czeska na odcinku produkcji filmowej. Nieco inaczej jest ze sztukami czeskich dramaturgów — prócz widowiska Drdy („Igraszki z diablem") wystawionego przez Szillera — żadna inna sztuka czeska nie gościła na naszych scenach. Przeciwnie natomiast kilka dramatów polskich („Odwety", „Strzały na ulicy Długiej") cieszyło się dużym powodzeniem w Czechosłowacji.

Aczkolwiek ruch wymiany kulturalnej między Polską a Czechosłowacją jest jeszcze (poza literaturą) słaby, jednak w porównaniu z żadnym — jaki był przed wojną — uczyniliśmy naprzód krok nader poważny.

Roczniki humanistyczne KUL'u

Ostatnie roczniki humanistyczne Towarzystwa Naukowego K. U. L.*) chlubnie świadczą o rozległości zainteresowań lubelskiej uczelni. Bogaty materiał podzielony jest na dwie części. Część I („Rozprawy") przynosi 17 pozycji. Na początku czytamy 4 rozprawy poświęcone historii politycznej i historii kultury. Prof. Leon Białkowski omawia „Początki dziejowe Słowiańszczyzny wschodniej", ukazując proces kształtowania się dawnej Rusi wśród krzyżujących się wpływów orientalnych, bizantyńskich i skandynawskich. Do dziejów Kościoła w średniowieczu sięga rozprawa ks. Aleksego Petroniego pt. „Podwójne wybory papieża w r. 1130". Ks. Mieczysław Żywczyński pisze o „Rabacji galicyjskiej w r. 1846 w polityce i opinii europejskiej". Metodologii nauk historycznych poświęcona jest praca dr. Witolda Hensela, analizująca zagadnienie „Stosowania metody analogicznej w prehistorii".

Bardzo cenne są rozprawy poświęcone filologii klasycznej. W pięknym szkicu o „Testamencie poetyckim Słowackiego" dr. Janina Pliszczyńska zwraca naszą uwagę na wielkie wartości poetyki klasycznej. O „Kalimachu — poecie sztuki i wdzięku" pisze prof. Jerzy Manteuffel, wtajemniczając nas w subtelny artyzm tego hellenistycznego poety.

Wiele ciekawych uwag o psychologii twórczości znajdujemy w essay'u Jana Parandowskiego pt. „W pracowni pisarza" (fragment rzeczy pt. „Alchemia słowa"): na marginesie możemy dodać, że drukowane już po różnych pismach rozdziały tej nowej pracy Parandowskiego każą nam z niecierpliwością oczekiwać ukazania się całości. Historii literatury polskiej poświęcono 5 rozpraw. Prof. Juliusz Kleiner prowadzi nas do zagadnień polskiego romantyzmu, pisząc o młodzieńczej twórczości Z. Krasińskiego („Pseudoromantyka Agaj-Hana") i o „Pierwowzorze trzech gromad w „Anhellim" (tym pierwowzorem ma być broszura pt. „Dziewica i starzec — powieść" wydana w Paryżu w 1837 roku przez Jana Czyńskiego, jednego z najżarliwszych postępowców emigracyjnych). Dalej czytamy ciekawe studium dr. Zygmunta Bownika pt. „C. K. Norwid o swej twórczości poetyckiej" (fragment większej pracy pt. „Poeta malarz o sobie, studium o C. K. Norwidzie w świetle jego listów"); autor zajmuje się badaniem teoretycznej poetyki tego wielkiego poety, który jako filozof kultury i sztuki jest dziś tak bardzo aktualny. Z równie wielkim zadowoleniem czytamy dwie rozprawy o Bolesławie Prusie. Prof. Jan Dobrzański omawia „Czasy szkolne Bolesława Prusa w świetle źródeł archiwalnych". Aktualność dzieła Prusa w naszych czasach jest tematem szkicu dr. Feliksa Araszkiewicza pt. „Prus a nowa epoka". Twórczość wielkiego pozytywisty ma nie przemijającą wartość tak ze względu na swoje moralne ideały, jak i na zdobycze artystyczne.

Językoznawstwo reprezentowane jest trzema rozprawami: prof. Maria Dłuska — „Człon podstawowy i człon kształtujący w polskich wyrazach"; prof. Władysław Kuraszkiewicz — „Spójniek eże obok eż na Mazowszu w wieku XV"; dr. Brajerski Tadeusz — „Przyczynek do historii archaizmu podhalańskiego".

Znajdujemy również dwie prace będące przyczynkami do historii architektury: prof. Mariana Morelowskiego — „Przemiany formy lubelskiego ratusza w świetle ineditów architektonicznych Dominika Merlini z roku 1781" oraz dr. Piotra Bohdziewicza „O kościele pokapucyńskim w Astrachaniu".

Na tym kończy się dział rozpraw. Część druga („Materiały, sprawozdania, komunikaty") przynosi opracowania pewnych dokumentów historycznych) m. in. dr. Marian Tyrowicz pisze o źródłach do dziejów rewolucji 1848 roku w Galicji), oraz dział recenzyjno-sprawozdawczy, tym razem poświęcony głównie zagadnieniom wiedzy historycznej.

*) Roczniki humanistyczne. Redaktorowie: Juliusz Kleiner, Stefan Kawyn, Stefan Kunowski. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin 1949.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Kodeksy pisane i niepisane

W swoim, nadzwyczaj słusznym, cennym i ważnym artykule, pt.: „Życie najsłabszych", zamieszonym w 42 (240) numerze „Tygodnika Powszechnego", pan Walenty Majdański. pisząc o roli lekarza, podkreśla wielką rolę wychowawczą, jaką ten musi spełniać w społeczeństwie. Ujmuje to w zdania o treści następującej:

„Oto jeżeli lekarz zawsze wywiera wielki wpływ wychowawczy na naród, to w czasach świadomego dawania życia wpływów, zwłaszcza na obyczaje młodzieży i kobiet, jest decydujący (podkr. moje J. O. P.). Dlatego jaki dziś lekarz, taka młodzież, taka kobieta, takie wychowanie, takie małżeństwa i rodziny, taka liczebność narodu i jego zdrowia. Jaki lekarz, taki naród".

Choć dalsze wywody pana Majdańskiego wydają mi się słuszne,— myślę, iż przecenia on niewątpliwie bardzo doniosłą rolę lekarza jako wychowawcy, mówiąc, że jego wpływ jest tutaj decydujący: Sądzę, że wystarczyło by tu właśnie określenie „bardzo doniosły", „jeden z najważniejszych". Działa tu bowiem niewątpliwie również szereg innych czynników, owe obyczaje młodzieży i kobiet kształtujących. Jednym z najważniejszych, jeśli chodzi o katolików, jest niezaprzeczalnie religia, ale religia rozumiana wraz ze wszystkimi z niej wypływającymi konsekwencjami.

Łączy się z tym działalność wychowawcza duchowieństwa, które ma tu szerokie, bardzo szerokie pole do działania. Trzeba też pamiętać o pisarzu — publicyście, którego zadaniem jest właśnie opinię publiczną kształtować, a o znaczeniu i wynikach jego pracy pan Majdański wie chyba najlepiej. Praca bowiem duchownego, pisarza, publicysty prowadzi do uświadomienia, a tym samym do kierowania wolnym wyborem, który niewątpliwie ma większą wartość moralną od czynu pod wpływem litery prawa, o czym kiedyś nie bez słuszności, acz mocno jednostronnie w osławionych „Kodeksach niepisanych", pisał Kisiel.

Dlatego myślę, że właśnie zadanie księży, pisarzy i publicystów jest w tym wypadku niemniej ważne, niż zadanie lekarzy. Z drugiej zaś strony postępowanie lekarza w taki sposób, w jaki wskazuje pan Majdański, jest postawą jedyną, jaką może zająć uczciwy lekarz. Taką samą postawę powinno zająć ustawodawstwo.

Janusz Odrowąż-Pieniążek

Nie zapominajcie o czytelnikach

W związku z notatką p. W. Sadkowskiego w rubryce „Czytelnik uważa, że..." (Dziś i Jutro" nr 41), nasuwa mi się kilka uwag, o których umieszczenie uprzejmie proszę.

Bardzo sobie cenię „liberalizm" wspomnianej rubryki, lecz uważam, że gościnna ta rubryka nie powinna być areną, na której popisują się erudycją i niewątpliwie trudną sztuką poprawnego formułowania zdań, ludzie, którzy prócz osobistych inwektyw, do kwestii zasadniczych (polemika Kisiel — Szarzyński) nie wnoszą absolutnie nic nowego.

Z notatki p. Sadkowskiego można wnioskować, że autor należycie przestudiował „Dzieje Anglii" Maurois'a, lecz to nie wystarcza, aby zabierać głos w kwestii, w której prócz ataków na osobę p. p. Szarzyńskiego i Jakimiaka, nie ma się właściwie nic do powiedzenia.

Proponuję, by redakcja rubryki badała wypowiedzi czytelników, pod względem ich celowości i sensowności i nie zamieszczała takich „młodzieńczych wyskoków", jak notatka p. Sadkowskiego.

Gościnność rubryki ma przecież też swoje granice.

Dlatego proponuję, żeby ewentualny dalszy ciąg dyskusji w wyżej wymienionej kwestii między p. Kisielem, Jakimiakiem, Szarzyńskim... Sadkowskim et.c. przenieść na grunt prywatnej korespondencji.

Czytelnicy mają już dość.

Lech Kosieniak

List od czytelnika z Londynu

Czytelnik „Hodie et Cras" uważa, że...

PETUNIE*)

Eklektyzm —
Chojecki.., Łepkowski,
Muzyczność pomiędzy —
nad Kolbuszewskim;
on, nie da!

Nad piątym piętrem... u poziomu —
po północy
Bach niedopisał!

Było lepiej nie dopisać
do... czarowania się w kawki —
aż rybki spłynęły na domy
ze słońca — manierki
(z sikawki)!

Między dniem a zachodem
staje się rozdział ciszy.

Po tej kropce — przestrodze...
Murzyn zamieszał
w oranżadzie
nietylko flecistę...

Gdy Błędnik
wypływał w mokradło — echem
bzykało strojenie! I cóż?
Po rozdziale ciszy...
słońce — manierką,
a w rynnie —
bulgoce maniera...

Nieszczęsne petunie
już nie pójdą
przez północ i dalej.

Od tamtej kropki —
przy rozdziale ciszy...
było oderwać „spocone ręce".
nie pogrążać zieleni „Preludiów"!

*
**

A między nami:

Zanim wysadzą ścianę wieczorem—
szkoda, że Redakcja
nie wysadza Jędraszka
pośród natchnienia... na medytacje!

---

*) Petunie — z utworu „Preludia", drukowanego w kształcie wiersza, wyróżnionego w n-rze 199-ym „Dziś i Jutro". **Józef Cybis — „Sprzeciwy Literackie".**

Makiem w oczy

Pan Marian Mak, snując w „Przekroju" (nr 236) rozważania nad współczesną sytuacją polityczno - gospodarczą Austrii, rozdziera szaty z powodu dającego się obserwować w zamożniejszych środowiskach Wiednia sentymentu do starych, cesarskich czasów. Równocześnie tenże sam sentyment w masach robotniczych komentuje pan Mak, jako nie świadomą chęć współpracy z krajami naddunajskimi. Nie wiem, jakie pragnienia nurtują teraz społeczeństwo austriackie. Obawiać się jednak należy, czy ta upolitycznione wykładnia oczywistych, łatwo zrozumiałych sympatii, ma coś wspólnego z rzeczywistością. Bezpowrotnie minęła epoka złotem szamerowanych mundurów, błyszczących szabel, całego C. K. blichtru. Została jednak we wspomnieniach wielu ludzi jako zaczarowany okres młodości. Może więc nie ma powodu do oburzenia, gdy niekiedy ktoś z sympatią popatrzy na stary portret, starego Franciszka - Józefa, ani podstaw do snucia daleko idących domysłów, gdy robotnik z rozrzewnieniem myśli o tych czasach, gdy bułka kosztowała centa. Cóż w tym dziwnego i gorszącego, że cały Wiedeń z rozrzewnieniem wspomina straussowską epokę? Więcej wyrozumiałości dla niegroźnych, znikających cieniów przeszłości. Więcej trzeźwości w dostrzeganiu i ocenianiu dnia dzisiejszego — oto czego brakuje niektórym publicystom. Pan Mak zaś, zamiast nadsyłać z Wiednia reporterskie ple-ple, może przyśle rzetelne, interesujące wszystkich wiadomości o codziennym życiu zwyczajnego, szarego obywatela dzisiejszej Austrii.

Gaweł.

Szanowni Redaktorowie

Już bodajże po raz piąty zaszczycić muszę pp. korektorów i zecerów epitetami, których ze względów natury zasadniczej nie wyrażam na piśmie. Wiersz mój „Pora Umarłych" zamieszczony w poprzednim numerze „Dziś i Jutro" uległ znowu poważnemu zniekształceniu. W ósmej strofie czytamy tam:

To, nic, że wargi milczą
I myśli ku nim biegną.
Gdy serca są gorące
Jak nieme usta matek,

winno być natomiast:

To nic, że wargi milczą,
Jak nieme usta matek,
Gdy serca są gorące
I myśli ku nim biegną.

Fakt przestawienia strofy, fakt zniekształcenia tekstu poetyckiego jest, powtarzam, szczególnie przykry i tylko ponowne wydrukowanie wiersza w sposób właściwy, może być należytą rekompensatą dla autora. Rzecz prosta, że naraża to redakcję na dodatkowe koszty, ale... Pozwolę sobie zauważyć, że jednakże Redakcja „Dziś i Jutro", która z uporem godnym lepszej sprawy zamieszcza lojalnie moje sprostowania, nie zrobiła ze swej strony nic, aby zapobiec harcom korektorów i zecerów. Można by sądzić złośliwie, że chodzi jej o zapełnienie rubryki: Czytelnik uważa, że...

Ponieważ pełen jestem jaknajdalszych myśli pod adresem Redakcji, podtrzymuję to przypuszczenie.

Pozostaję rozgoryczony, z pretensją do świata i ludzi.

Marek Antoni Wasilewski

Sprostowanie

W 44 numerze naszego pisma naskutek przeoczenia korektora pomyłkowo wydrukowano nazwisko autora pracy pt. „Wiara i historia" Montuelard. Powinno być: M. I. Montuelard.

Za pomyłkę przepraszamy Autora i Czytelników.

REDAKCJA

Na progu innej kultury

(Dokończenie ze strony 3-ej)

Cechą charakterystyczną obecnej rewolucji jest zniesienie własności na środkach produkcji.

Jest to stworzenie takiej sytuacji społecznej, jakiej dotychczas na świecie nie było. No i oczywiście — wymaga to zupełnie odmiennego ukształtowania się obyczaju społecznego. I to ukształtowania nie mającego żadnego wzorca w przeszłości. Wiele lat minie nim warunki te zmienią obowiązujące obyczaje człowieka. Śmiesznym jest sądzić, że literatura będąca właśnie rezutatem obyczaju społecznego i indywidualnego, jego zwierciadłem niejako, że ona pozostanie skutą z wartościami, jakich nie będzie w życiu. Nie! Ulegnie ona zasadniczej zmianie. W społeczeństwie, w którym wielka własność indywidualna zniknie na rzecz własności społecznej, a więc zmieni się ogromna ilość dotychczasowych bodźców i kryteriów naszego działania indywidualnego, literatura będzie musiała być zupełnie odmienną, nie w swej formie, ale w swej treści, w fabule, w rysunku swych bohaterów.

Jeżeli dziś jesteśmy świadkami pewnej niemocy twórczej u pisarzy, którzy nadal doskonali są w opisywaniu życia czasu minionego, w krytykowaniu i **demaskowaniu** tego co było, którzy tworzą tak świetne powieści hisoryczne (np. „Piotr I", „Trzy barwy czasu" — Winogradowa), którzy dają znakomite dzieła o rewolucji czy wojnie ostatniej, gdyż tak rewolucja, jak wojny są tradycyjnym schematem obyczajowym i historycznym (Erenburg „Upadek Paryża", Bek „Szosa Wołokołamska", Niekrasow „W okopach Staligradu" — podobne przykłady wybrać można i z naszej powojennej literatury) — o ileż obniżają swój lot artystyczny gdy im przychodzi mówić o sprawach i kwestiach związanych z nowym ustrojem. Szołochow ze swym „Zoranym Ugorem" (choć „Zorany ugór' to też jeszcze nie życie kołchozu, ale dopiero walka ze „starym" o przyszły kołchoz!) to jedna jaskółka, która jeszcze nie czyni wiosny, choć ją zapowiada. Pisarz czuje i rozumie przesłanki i konieczności nowego kształtu psychiki człowieka ustroju socjalistycznego, a nie potrafi jeszcze przełamać chwytem artystycznym konwenansu dotychczasowego ujęcia osobowości ludzkiej, konwenansu będącego rezultatem diametralnie różnych warunków ustrojowych i obyczajowych. Przypuszczam, iż to przezwyciężenie artystyczne nastąpi jednak nie wcześniej, niż nie wyrosną zupełnie nowe pokolenia ludzi nie znających ani obyczaju dnia przeszłego, ani nie będących świadkami walki między „starym" a „nowym". A na to jeszcze poczekamy. Gdyż walka jeszcze trwa, jeszcze nawet w Związku Radzieckim nie została ona zakończona.

Dla tej przyszłej literatury kategorie „realizmu socjalistycznego" — dziś będącego taranem używanym przeciw psychologizmowi czy naturalizmowi — będą już niewystarczające.

Nowy ustrój wymagać będzie zupełnie innej literatury. Każda dotychczasowa zmiana ustrojów przynosiła zmianę stylów kulturowych. Zmiana ustrojowa jaką przeżywamy jest z wszystkich dotychczasowych najgłębszą. Najgłębszą też będzie zmiana w wszelkiej sztuce. Tak będzie — czy się komu podoba, czy nie!

Adam Weber

Stanisław Podlewski

„Przemarsz przez Piekło"

Dni zagłady Staromiejskiej dzielnicy w Warszawie

2 t. — 1.300 zł.

Wydawnictwo:

MIECZYSŁAW FUKSIEWICZ i S-ka

Warszawa, Nowogrodzka 37

do nabycia

we wszystkich księgarniach

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr. I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.
Druk. Skolimowska 8.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
B-91015